

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 15 lutego 1948 r.

Nr 7 (136)

Stanisław Cieślak

PLAN INWESTYCYJNY^{*)}

1. MIARA WYSIŁKÓW INWESTYCYJNYCH

Przystępując do rozważania zagadnień inwestycyjnych w Polsce, stajemy od razu na samym początku przed zjawiskiem, które możemy określić „nadmiarem słusznych potrzeb”. Pókieżbowiem nawet rozpatrzenie potrzeb inwestycyjnych w różnych dziedzinach gospodarki i życia społecznego stawia nas wobec cyfr astronomicznych, nie znajdujących żadnego pokrycia w naszych możliwo-

dochodu społecznego na część akumulowaną i konsumowaną, musi podejmować te decyzje z dużą rozważą, aby nie zepchnąć poziomu życia mas ludowych poniżej pewnego minimum egzystencji. Niesłychanie zwłaszcza ważną rzeczą jest sprawiedliwy podział oszczędności między poszczególne warstwy ludności. Ważną a specjalnie trudną w okresie powojennym, przy narastającej dopiero stabilizacji gospodarczej.

ta zostanie, na cele przynoszące efekty produkcyjne w postaci zwiększonego strumienia towarów rzucających na rynek. W początkowych okresach planu na tej drodze mogła być i została pokryta większa część planu. Jeszcze w roku 1947 (nie mówiąc o roku 1946) — 2/3 potrzeb inwestycyjnych zostało pokryte z tego źródła. Stało się to bez większego uszczerbku dla naszej waluty (zbyt duża bowiem emisja banknotów, nie znajdująca pokrycia w masie towarowej na rynku prowadzą nieuchronnie do katastrofy inflacji) tylko dlatego, że w początkowych okresach inwestycyjnych drobne nieraz remonty częściowo zniszczonych zakładów przemysłowych wyzwalały w krótkim czasie wielki potok towarów. W roku obecnym, gdy przystępujemy do odbudowy zakładów produkcyjnych zniszczonych więcej niż w 50 proc. czerpanie ze źródła kredytów antycypacyjnych musi być bardzo ostrożne i połączone z reglamentacją spożycia i cen.

Widać stąd jasno, że zeszłoroczna akcja stabilizacji cen jak również ograniczanie spożycia (np. dni bezmięsne) była nieodzownym warunkiem powodzenia planu inwestycyjnego zeszłorocznego. Cała ta akcja musi być również utrzymana i w roku bieżącym, jeśli nie chcemy przerzucić całego ciężaru planu na przymusowo akumulowaną część dochodu społecznego.

Sprawa łączy się także z koniecznością ostrożnej polityki w kredytach krótkoterminowych, z których znaczna część zawsze „przebiega” na inwestycje, powiększając w sposób wymykający się spod kontroli pulę kredytów antycypacyjnych.

Trzecim źródłem pokrywania inwestycji są kredyty zagraniczne. Działały one silnie w latach 1946 i 1947 w postaci kredytów towarowych Związku Radzieckiego, spłacanych z produkcji bieżącej, jak również w postaci UNRRA i reparacji wojennych, otrzymywanych za pośrednictwem Związku Radzieckiego z Niemiec oraz z mniejszych kredytów towarowych (m. m. szwedzkich i duńskich) z innych państw. Przykładowo można podać, że z tego źródła pokryliśmy w r. 1947 ok. 22 proc. kwot inwestycyjnych.

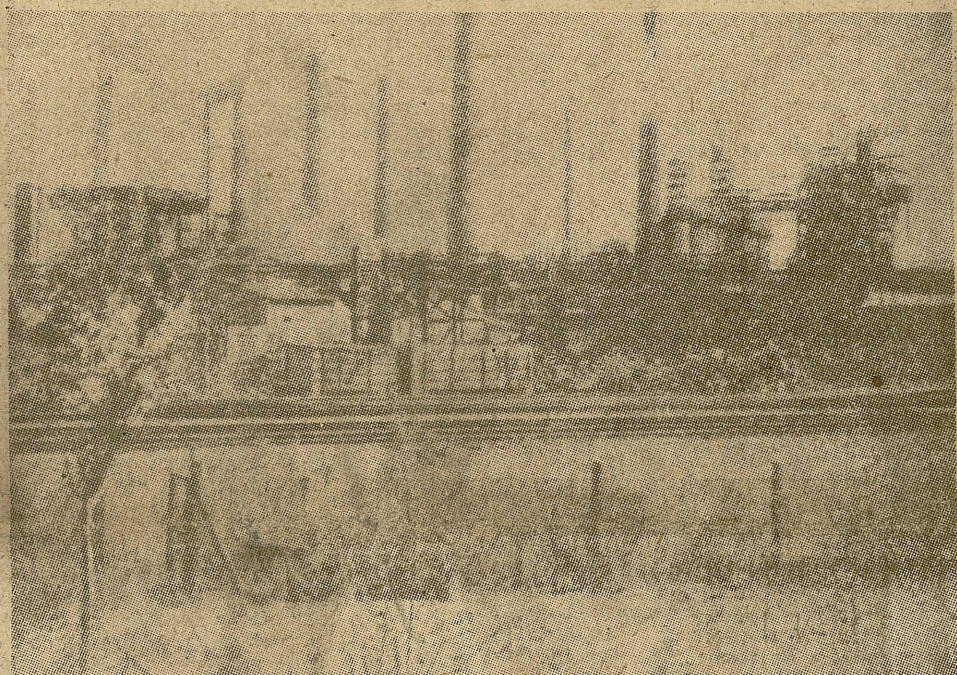
Strategia dolarowa uwzględniła w t. zw. planie Marshalla a mającą na celu opanowanie i podporządkowanie Europy imperialistycznym planem USA próbuje nie dopuścić do dalszego rozwoju gospodarczego Polski.

jest tym kto dyktuje, a nie tym kto przyjmuje warunki.

Po drugie nie jesteśmy osamotnieni wobec nacisku dolara i podobna jak Polska politykę obrony niezależności gospodarczej i uczciwej wymiany gospodarczej prowadzi szereg państw ze Związkiem Radzieckim na czele. Stąd współpraca gospodarcza z Czechosłowacją i korzystna dla Polski umowa ze Związkiem Radzieckim gwarantująca Polsce kredyty towarowej wysokości 450 milionów dolarów. Mimo faktu, że dostawy te zagrają dopiero w całej pełni w latach 1949 i 1950 (gdyż żadne państwo nie ma dziś na składzie artykułów inwestycyjnych i musi upłynąć pewien czas od zamówienia do wykonania), możemy być pewni, że źródło kredytów zagranicznych dla finansowania inwestycji nie wyschło jak obawiali się niektórzy ekonomiści.

Ten wstęp poprzedzający omówienie państwowego planu inwestycyjnego na rok 1948 jest dlatego potrzebny, aby uwypuklić trudność, na jakie natrafiamy przy ustaleniu właściwej, starannie obliczonej miary wysiłków inwestycyjnych, możliwych do wykonania w 1948 r. To pozwala zachować trzeźwy stosunek do „nadmiaru słusznych potrzeb”, jak również umożliwia zajęcie słusznego stanowiska wobec różnych głosów twierdzących, że mało na to albo na tamto. Ten wstęp jest również odpowiedzią na postulaty, najzupełniej słuszne zresztą, wielu działaczy oświatowych i kulturalnych, którzy chcieliby w tym roku na drodze wielkich inwestycji kulturalnych, oświatowych czy zdrowotnych, wyrównać wieloletnie zaniedbania polskie w tych dziedzinach. Troska o człowieka, o jego potrzeby kulturalne, znalazła dostatecznie mocny wyraz w tegorocznym planie inwestycyjnym, musiał być jednak utrzymany prymat zagadnień produkcyjnych, bo to jest fundament, na którym dopiero można budować wszystko inne.

Zresztą nie tylko możliwości finansowe ograniczają plan. Ograniczają go również możliwości materiałowe, jak też brak dostatecznej liczby wykwalifikowanych sił fachowych. Wprowadzenie nawet bardzo wysokiej sumy do projektu ustawy o planie inwestycyjnym np. na budowę wielkiego nowego mostu w r. 1943 nie da nie, skoro huty mogą go wykonać dopiero po roku od otrzymania zamówienia. Tak samo słuszny np. skąd-



Huta Stoleczyn — Szczecin

ściach. Dlatego też państwowy plan inwestycyjny należy przede wszystkim oceniać nie od strony sumowanych potrzeb, lecz od rozważenia planu ogólnego, ustalającego nasze możliwości inwestycyjne. Po starannym wyważeniu naszych zdolności inwestycyjnych, można dopiero przystąpić do podziału puli inwestycyjnej w danym roku między poszczególne działy gospodarki narodowej i to według uzasadnionej hierarchii potrzeb, co prawie zawsze nie pokrywa się z wysuwanymi przez zainteresowane gałęzie gospodarki postulatami. Ten plan ogólny zawarty jest w planie odbudowy gospodarczej na lata 1947 — 1949, którego Plan Inwestycyjny na rok 1948 jest szczegółowym rozwinięciem.

Jakie są główne źródła, z których mogą być czynione inwestycje?

Po pierwsze t. zw. akumulowana część dochodu społecznego, po drugie kredyty bankowe t. zw. „antycypacyjne”, po trzecie, kredyty zagraniczne. Omówimy je po kolei.

ad 1) Wartość produkcji przemysłowej, rolniczej i usług w pewnym roku określamy pojęciem dochodu społecznego. Dochód społeczny dzieli się na dwie wyraźne części: pierwszą z nich obejmuje to wszystko, co cały naród zużywa na swoje bieżące potrzeby — tę część nazywamy — konsumowaną częścią dochodu społecznego. Drugą z nich obejmuje to wszystko co odkładamy (oszczędzamy) z naszych bieżących dochodów, aby zwiększyć swe dochody w latach następnych, tę część nazywamy akumulowaną częścią dochodu społecznego.

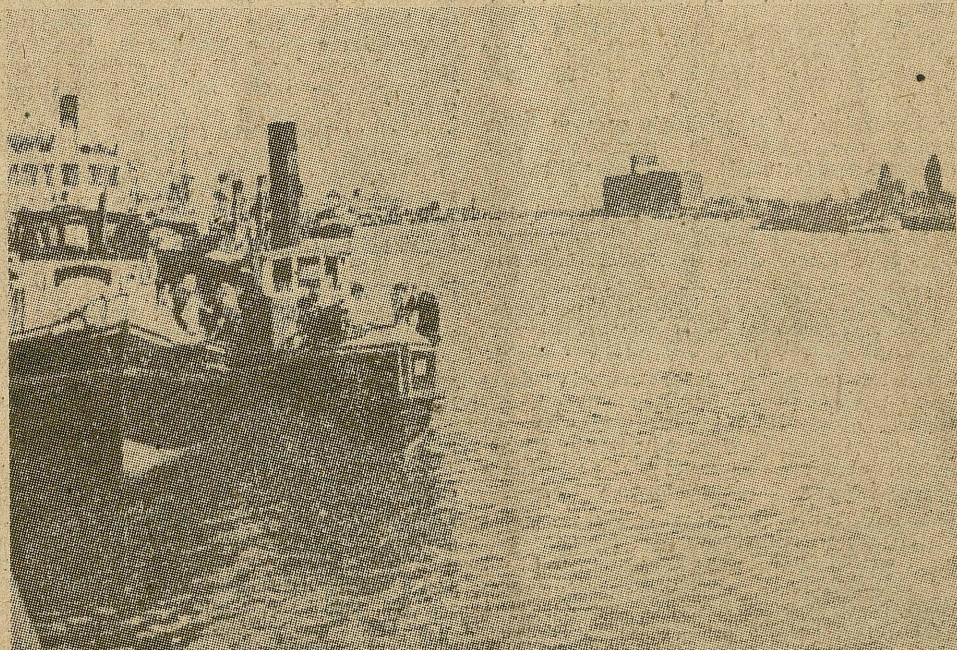
W krajach o ustabilizowanej gospodarce i wysokim dochodzie społecznym (a tym samym wysokiej stopie życia mieszkańców) podział ten jest rzeczą stosunkowo łatwą. Można oszczędzać bez uszczerbku dla potrzeb bieżących. W trudniejszej sytuacji znajdują się kraje o niskim dochodzie społecznym (a tym samym o niskiej stopie życia). Tutaj ograniczenie potrzeb bieżących na rzecz przyszłości jest sprawą niełatwą. Wymaga dużej dyscypliny gospodarczej, a nieraz i heroizmu. Państwo, które jest w systemie gospodarki planowej, czynnikiem rozstrzygającym o podziale

W warunkach bowiem ustabilizowanych większość akumulowanej części dochodu społecznego gromadzi się w bankach czy instytucjach finansowych w postaci oszczędności, wkładów terminowych i lokat i łatwo wtedy nimi dysponować. W warunkach powojennych obserwujemy bardzo powolne narastanie oszczędności, a co gorsza — warstwy pośrednie chętnie uciekają się do gromadzenia oszczędności nieujawnionych (w walutach obcych czy wartościowych towarach). Dlatego też państwo musi uciec się do przymusowych środków i przy pomocy podatków, dań, pożyczek wewnętrznych, odpowiedniej polityki kredytowej, polityki płac i cen, obojętniejszej pracy na rzecz odbudowy, bądź wreszcie przymusu oszczędzania — gromadzić w instytucjach finansowych akumulowaną część dochodu społecznego. Przyzwyczajenia starego aparatu skarbowego z jednej strony, wysiłki warstw posiadających z drugiej strony — starają się zepchnąć ciężar oszczędności przymusowych na barki światła pracy. Dlatego też potrzebna jest tu ostra czujność rządu ludowego i współpraca mas pracujących, aby ciężar przymusowych oszczędności, we wszystkich swych formach był sprawiedliwie rozłożony. Znajduje to wyraz we wszystkich nowych ustawach podatkowych, w całym systemie kartkowym, w przepisach świeżo uchwalonej ustawy o obowiązku społecznego oszczędzania.

Przed wojną w roku 1938 inwestowaliśmy (głównie z akumulowanej części dochodu społecznego) ok. 13,3 proc. ogólnego dochodu społecznego. W roku 1946 wydaliśmy ok. 23,4 proc., w roku 1947 — 22,4 proc. w r. 1948 planujemy ok. 20,4 proc. ogólnego dochodu społecznego na inwestycje.

Samo porównanie tych liczb nasuwa przypuszczenie, że pokrycie tak wysoko planowanych inwestycji tylko z akumulowanej części dochodu społecznego musiałoby się odbyć w sposób bardzo widoczny na poziomie życia całego społeczeństwa. To, że tak się nie stało, przeciwnie bowiem — obserwujemy powolną ale stałą poprawę bytu mas pracujących, wynika z faktu, że istnieją jeszcze dwa inne źródła inwestycji. Przechodzimy więc do ich kolejnego omówienia.

ad 2) Drugim z kolei źródłem inwestycji w Polsce powojennej są t. zw. kredyty „antycypacyjne” czyli, po polsku, **wyprzedzające**. Oparte są one na emisji banknotów przez Narodowy Bank Polski, przy założeniu, że dodatkowa na te cele emisja banknotów uży-



Szczecin — port

Wpływ zagranicy na dwa wyżej wymienione źródła pokrycia inwestycji, poza sianiem pańki gospodarczej i podrywaniem dyscypliny gospodarczej w społeczeństwie polskim jest bardzo ograniczony. Natomiast w dziedzinie kredytów zagranicznych mógłby być większy gdyby nie dwa **ale**. Po pierwsze, jeszcze w Europie Zachodniej tych obiecanych amerykańskich kredytów nie ma, po drugie nawet w stosunku do państw kapitalistycznych, a tym samym podatniejszych na wpływy dolara, nie posiadających węgla jak np. Dania czy Szwecja, Polska posiadająca węgiel na eksport

inad projekt regulacji Wisły wymaga wieloletnich studiów i przygotowań technicznych i nie da się załatwić w obecnym okresie nawet gdybyśmy posiadali na ten cel środki finansowe. Czas wykonania inwestycji również obok finansów, materiałów i siły roboczej musi być brany pod uwagę przy układaniu planu inwestycyjnego. Prace inwestycyjne rozciągające na długi okres kosztują zbyt drogo. Ambicją planu jest, aby robota rozpoczęta w tym samym roku została zakończona. W wypadku tworzenia wielkich zakładów, których budowa z konieczności musi

*) Naszym czytelnikom przypominamy prace Stanisława Cieślaka zamieszczone w latach 1946 i 1947 na temat — rolnictwa w planie odbudowy gospodarczej, podniesienia wydajności produkcyjnej w rolnictwie, struktur nowej spółdzielczości chłopskiej i nowej organizacji zbytu produkcji rolnej. (Przyp. Red.)

się rozciągnąć na wiele lat, rozkłada się budowę na zamknięte etapy (roboty ziemne, ubrojenie terenu, prace budowlane, instalacja maszyn i urządzeń itd.).

2. CHARAKTERYSTYCZNE CECHY PLANU NA ROK 1948.

Państwowy Plan Inwestycyjny na rok 1948 jest częścią 3-letniego Planu Odbudowy Gospodarczej (1947—1949) i dlatego posiada dwie cechy: po pierwsze jest wciąż planem odbudowy zniszczeń wojennych, po drugie, jest planem przebudowy struktury gospodarczej naszego kraju.

Mówiąc o odbudowie zniszczeń wojennych odróżniać należy odbudowę w sensie materialnym (przywrocenie do stanu poprzedniego) i odbudowę w sensie ekonomicznym (przywrocenie zdolności produkcyjnej). O ile w latach poprzednich mieliśmy do czynienia z rekonstrukcją obiektów w sensie materialnym, to w roku 1948 odbudowując obiekty dokonujemy jednocześnie **umocnienia** ich. O ile w roku 1946 zaledwie 7 proc. planu poszło na unowocześnienie odbudowanych obiektów, to w roku 1947 — liczba ta wzrosła do 16 proc., aby w roku 1948 osiągnąć 34,5 proc. Jest to objaw pocieszający, który świadczy o tym, że odbudowę ekonomiczną ukończymy wcześniej niż z końcem 1949 roku.

W tegorocznym planie inwestycyjnym obok odbudowy zniszczeń wojennych wyraźnie zwraca się na przemysł występować zaczyna zjawisko rozbudowy. Między innymi powstają nowe zupełnie zakłady jak na przykład wielka fabryka chemiczna w Dworach k. Oświęcimia, która po wykonaniu zatrudni ok. 40 tys. ludzi, wielka huta żelazna nad kanałem Kłodnickim, która podnosi naszą produkcję żelaza i stali (koszt 300 milionów dolarów), w Starachowicach buduje się wielka fabryka samochodów, trzecia co do wielkości w Europie o produkcji 10 tys. samochodów ciężarowych rocznie, trzy nowe kopalnie węgla (Gigant, Wesoła, Ziemowit), których produkcja przekroczy 25 milionów kg węgla na dobę, ruszy również w tym roku kopalnictwo i przerób metali nieżelaznych (miedzi, niklu, aluminium), między Koninem a Częstochową w oparciu o nowo odkryte pokłady węgla brunatnego i soli potasowych (a może i ropy naftowej) powstaje nowy wielki ośrodek produkcji przemysłowej, powstają dwie nowe fabryki traktorów itp.

W wykonaniu planu inwestycyjnego na rok 1948 największy nacisk położony będzie na uzyskanie jak największych efektów kosztów jak najmniejszych nakładów. Zagadnienie oszczędności w materiałach, robociznie, racjonalizacji robót, zastosowanie jak najbardziej nowoczesnych metod pracy, a tym samym najtańszych, staranna analiza kosztów własnych — oto kluczowe problemy przy wykonywaniu planu w r. 1948.

Ma to tym bardziej wielkie znaczenie, że inwestycje roku 1948 koncentrują się w trzech regionach: Górny Śląsk, Szczecin, Warszawa. Zmasowanie prac inwestycyjnych w tych trzech ośrodkach umożliwi zastosowanie zwłaszcza w budownictwie nowoczesnych metod pracy: możliwe jak największego zmechanizowania robót.

Na Górny Śląsk idzie w r. 1948 ok. 40% ogólnej sumy planu t. zn. ok. 80 miliardów złotych. Złożyło się na to wiele przyczyn, głównie obecność podstawowych surowców (węgiel, żelazo) jak również konieczność wielkiego wysiłku inwestycyjnego w dziedzinie budownictwa robotniczego.

Okręg Szczeciński (port, miasto i województwo), który w roku 1946 musiał przetrwać na 200 milionach złotych, otrzymuje w roku 1948 sumę sto razy większą, bo aż 20 miliardów 200 milionów złotych.

Niewiele mniej bo 19 miliardów złotych otrzymuje Warszawa, poważny skok z 4 miliardów w 1946 r. do 79 miliardów w r. 1948 pozwoli znacznie skrócić okres odbudowy stolicy.

Wykorzystanie tak wielkich sum w kilku okręgach nie byłoby do pomyślenia bez zmechanizowania robót. Nie potrafilibyśmy przebudować np. w Szczecinie 29,2 miliardów złotych, pracując gołymi rękami tak jak za Kazimierza Wielkiego.

Ta koncentracja nakładów inwestycyjnych w trzech okręgach ma swoje dodatnie i ujemne strony. Do dodatknych należy niewątpliwie możliwość zaspokojenia za jednym zamachem całego szerokiego wachlarza potrzeb, co na długi czas zaspokoi dany teren. Ujemną cechą tej koncentracji, nie mówiąc o zastraszaniu innych regionów, są dodatkowe trudności w zgromadzeniu sił roboczych, okresowego nasilenia problemów aprowizacyjnych i materiałowych itp.

Koncentracja ta pogłębia również różnice w poziomie cywilizacyjnym Polski Południowo-Wschodniej (woj. białostockie, lubelskie, rzeszowskie, kieleckie i krakowskie) a Polski Północno-Zachodniej. Problem ten stanie w całej swej ostryści w latach najbliższych i zmusi do skoncentrowania wysiłków inwestycyjnych na wschodnich i południowych ziemiach Polski.

Warto również wspomnieć o budownictwie mieszkaniowym robotniczym. Wykazuje ono w r. 1948 w porównaniu z r. 1946 wzrost więcej niż stokrotny (ze 100 milionów na 11 miliardów 200 milionów zł). Ten poważny wzrost mimo iż rozwiązuje problem mieszkaniowy z konieczności musi być przesunięty na dalsze lata planu, świadcząc o tym celach gospodarki planowej w Ludowej Polsce.

Godnym podkreślenia jest również fakt, że plan inwestycyjny na rok 1948 obejmuje

c wiele szerszy zakres. O ile plan państwowy z 1946 r. objął zaledwie 60% ruchu inwestycyjnego, to w r. 1947 — ok. 55%, a w r. 1948 już powyżej 70% wszystkich inwestycji dokonywanych w Polsce. Poza planem znajduje się większość inwestycji samorządów i większość inwestycji chłopskich. Pierwsze z nich zostaną niewątpliwie ujęte w plan już w ciągu tego roku. Uchwylenie i pokierowanie w sposób planowy inwestycjami gospodarstw chłopskich stanie się wkrótce centralnym problemem planowania w Polsce. Sprawa wypracowania metod planowania w rolnictwie, wysuwana była już wielokrotnie na łamach „Wiś” przez niżej podpisanego i innych, i wchodził powoli w okres realizacji.

Ostatnią cechą planu na rok 1948, na którą trzeba zwrócić uwagę jest jego wielkość. Dla porównania zestawimy wysiłki inwestycyjne w różnych latach planu, wyrażone w złotych według jego wartości w IV kwartale 1946 roku:

Wielkość nakładów inwestycyjnych w miliardach złotych	1946	1947	1948
Realny wzrost w miliardach złotych	64	89	106
Procentowy wzrost nakładów	—	25	17
	—	39%	19%

Ponieważ przewidywany wzrost ogólnego dochodu społecznego przekroczy z pewnością więcej niż o 19% stan w roku 1947 stwierdzić należy, że nacisk na dochód społeczny od strony inwestycji będzie w roku bieżącym mniejszy niż w roku zeszłym.

Ponieważ po wykonaniu planu 1948 roku przewidujemy wzrost produkcji o 26%, pozwoli to na podniesienie stopy życia ludności a zwłaszcza realnych płac robotniczych co najmniej o 15%.

3. PODZIAŁ NAKŁADÓW

Zgodnie z założeniami Planu Odbudowy Gospodarczej, który przewiduje przebudowę struktury gospodarczej Polski z rolniczoprzemysłowej na przemysłowo-rolniczą — na pierwszym miejscu co do wielkości nakładów kroczy przemysł sumą 72 miliardów 100 milionów zł (39,5% ogólnej sumy planu). Prawie połowę tej sumy pochłonią trzy podstawowe, kluczowe przemysły: węgielny — 12 miliardów 700 milionów zł, energetyczny 9 miliardów zł i hutniczy — 8 i pół miliarda zł (biorąc pod uwagę tylko cele produkcyjne po odliczeniu 2,8 miliarda na cele dystrybucji, urządzeń socjalnych, szkolnictwa i badań naukowych, które figurują w wydatkach przemysłu).

Co za to otrzymamy? Zwiększenie produkcji przemysłu co najmniej o 26%, a w liczbach szczegółowych:

	1938	1948
węgiel (w mil. ton)	38	67,5
surówka (w tys. ton)	880	1200
stal (w tys. ton)	1.440	1.783
energia elektr. (w mil. kWh)	3977	7.400
nawozy azotowe (w tys. ton)	257	406
nawozy fosforowe (w tys. ton)	165	400
tkaniny wełniane (w tys. m.)	40	45
tkaniny bawełniane (w mil. m)	400	330
cement (w mil. ton)	1,7	1,7
cukier (w tys. ton)	491	520
maszyny elektryczne (w tys. ton)	2,5	4,5
maszyny i narzędzia rolnicze (w tys. ton)	21,9	33,6
wagony towarowe (w tys. sztuk)	0,6	15

Oto przykładowo wybrane plany produkcji różnych gałęzi przemysłu w r. 1948.

Z większych pozycji zwrócić należy uwagę na: nową elektrownię w Janowie, trzy nowe kopalnie węgla na Górnym Śląsku, unowocześnienie Huty Kościuszkowej kosztem 436 mil. zł, rozbudowę fabryki sody w Matwach k/Inowrocławia (670 mil. zł), Starachowickie Zakłady Górnicze (400 mil. zł), fabrykę cementu w Szczecinie (100 mil. zł), fabrykę sztucznego jedwabiu w Szczecinie (254 mil. zł), chłodnię w Katowicach (100 mil. zł), Państwowe Zakłady Syntetyczne w Dworach k/Oświęcimiu (1225 mil. zł), Fabrykę Przemysłu Organicznego („Rokita”) Dolny Śląsk (560 mil. zł) — elektryfikację 1217 wsi kosztem 2 miliardów zł.

Na drugim miejscu pod względem wysokości nakładów idzie komunikacja i łączność — z sumą 47 miliardów 800 mil. zł (24% ogólnej sumy planu) z tego największą na kolej — 20 miliardów 200 mil. zł, porty i żegluga 9 miliardów zł, drogi kołowe 5,7 miliarda zł, drogi wodne 4,7 miliarda zł.

Spodziewane wyniki będą następujące: przekroczenie przewozów towarów kolejami o 1/5 w por. z r. 1938, przewozu osób o 50% podniesienie przeładunku w portach do 26 mil. ton (w roku 1938 — 16 mil. ton), przewozu na drogach wodnych do 2 milionów 200 tys. ton (w r. 1938 — 742 tys. ton).

Z większych pozycji wymienić należy: kolejowy węzeł warszawski (1500 mil. zł), budowa nowej linii kolejowej (Tomaszów Maz. — Radom), kolejowy węzeł szczeciński (1 miliard zł), odbudowa stała i prowizoryczna wszystkich mostów kolejowych i drogowych na trasach I i II klasy, budowa kabla Warszawa — Katowice (145 mil. zł), przebudowa dróg: Wrocław — Przemysł (250 mil. zł) Warszawa — Zamość (200 mil. zł), regulacja Odry (ok. 500 mil. zł), odbudowa statków rzecznych (247 mil. zł), odbudowa portów w Gdyni (873 mil. zł), w Gdańsku (769 mil. zł), w Szczecinie (1732 mil. zł), zakup 50 statków morskich (2840 mil. zł).

(d. c. n.)
Stanisław Cieślak

Galicyjski

Zygmunt Lasocki

Odpowiedź na „Stara zasłone” *)

W artykule p. t. „Na marginesie 50-lecia P.S.L.” („Nowe Drogi” Nr 1) przedstawiła p. Rozalia Rybacka, omawiając spór pomiędzy Stapińskim a posłami P.S.L. powstały w roku 1913 na tle projektu reformy wyborczej do sejmiku galicyjskiego, Stapińskiego jako ofiarę szantażu politycznego ze strony Andrzeja Średniawskiego i innych posłów, zaś samego Średniawskiego jako chłopca występującego się wielkiej własności. Jako przyjaciel s. p. Średniawskiego, człowieka najzacieśniej i ogólnie szanowanego, uważałem za mój obowiązek ująć się za pamięcią Zmarłego i wykazać bezpodstawną zarzutów p. Rybackiej; uczyniłem to w czasopiśmie „Wiś i Państwo” za maj—czerwiec 1947.

Powodem wspomnianego sporu był fakt, iż Stapiński podówczas prezes P.S.L. przewodniczący klubu poselskiego tego stronnictwa zgodził się był potajemnie, kompromisem z konserwatystami, na projekt utworzenia nowej kurii wyborczej średniej własności o 8 mandatach, wydzielonych z kurii gmin wiejskich, z których 4 przypadły na Polaków i oczywiście służyć miały do wzmocnienia stronnictwa konserwatywnego w sejmie. Zgodził się na to na petryfikację ustroju rad powiatowych, pomimo, iż przeciw temu już wypowiedziała się była Rada Naczelna P.S.L. oraz na ustanowienie dla obszarów dworskich, w razie połączenia ich z gminami, dodatków do podatków o 20 proc. niższych, aniżeli by się z obrachunku należało. Kompromis ten podpisał Stapiński po otrzymaniu 80 tysięcy koron od przywódcy konserwatystów, posła Jaworskiego. Gdy transakcja ta wyszła na jaw Jaworski złożył mandat poselski, a Stapiński w pierwszej chwili zrezygnował z prezesury stronnictwa i klubu poselskiego.

Kwestia kurii średniej własności nie była tak błaha, że „pies z kulawą nogą by o nią nie dbał”, jak to p. Rybacka przedstawiła w artykule pt. „Rozmowa u starej zasłony” („Wiś” z 14 grudnia 1947). Oto co w tej kwestii pisali tak poważni, nieposzlakowani liczący się z prawdą ludzie, jak posłowie Średniawski i Kędzior, w oświadczeniu z 28 listopada 1913: „Projekt kompromisowy podpisał p. Stapiński nie tylko imieniem własnym, ale jako obowiązujący klub sejmowy. Projekt ten po raz pierwszy przewiduje kurie średniej własności, przeciw której oświadczył się klub parlamentarny P.S.L. Projekt ten jest najniekorzystniejszy ze wszystkich projektów dla kurii gmin wiejskich. Podczas gdy bowiem liczba posłów z kurii wiejskiej wedle obowiązującej ordynacji wynosi 49,6 proc., to w projekcie kompromisowym spada ten stosunek na 46,2 proc.” Oświadczenie to ogłosił w swoim organie „Kurierze Lwowskim” z 1 grudnia 1913 r. Bolesław Wysłouch, jeden z twórców ruchu ludowego w Galicji, który też wystąpił energicznie przeciwko Stapińskiemu.

Z okazji sporu o projekt reformy wyborczej, ustalono także cały szereg brudnych spraw pieniężnych Stapińskiego: koncesję na Bank Ludowy, który miał służyć celom stronnictwa, sprzedaż na własny rachunek za 200 tysięcy koron. Od Węgry, barona Poppera otrzymał za wyrobienie mu wielkich wyrobów w galicyjskich lasach państwowych 45 tys. k. Od pewnego magistrata farmacji wziął 1000 koron zadatku na wyrobienie mu koncesji na aptekę. Koncesji nie wyrobił, a pieniądze zwrócił dopiero po zagrożeniu mu poruszeniem sprawy w prasie itd. itd.

W przystępie szczerości i skrupy przyznał się Stapiński na posiedzeniu Rady Naczelnej P.S.L. w Rzeszowie do wielu przewinień. Wyznając jego przytoczył Witos w „Piśmie” z 21 grudnia 1913 r. Brzmiało ono następująco: „Sprzedawałem was i interesy stronnictwa” — mówił Stapiński — „łączyłem się na waszą szkodę z konserwatystami, sprzedawałem wasze prawa, walałem się w błocie i korupcji, brałem pieniądze od rządu, od konserwatystów, brałem od Popperów i jeszcze od innych brałem” (powtórzono także w „Piśmie” 25 grudnia 1938 r.).

Gdy Stapiński cofnął swoją rezygnację i rozpoczął walkę z opozycją w stronnictwie przyszło do rozłamu i założenia „Piasta”. Jest rzeczą zrozumiałą, iż posłowie P. S. L. nie chcieli mieć jako prezesa stronnictwa i klubu poselskiego człowieka sprzedającego i skompromitowanego licznymi brudnymi aferami pieniężnymi. Dla wystąpienia ich przeciw Stapińskiemu nie było potrzeby ani intryg endeckich, ani dymnych zasłon lub obłoków, o których p. Rybacka pisze.

Sądze, że złą przysługę wyświadczyła p. Rybacka pamięci Stapińskiego przedstawiając go jako ofiarę intryg Średniawskiego i innych posłów P.S.L. gdyż zmusiła do przypominania niechlubnych postępów człowieka, który w pewnym okresie swojego życia miał niewątpliwie zasługi dla ludu.

Twierdzenia p. Rybackiej: „z wyborów (w r. 1911) endecy otrzymali tylko 9 mandatów zamiast poprzednich 14-tu, ale za to mieli wzmocnioną bazę w Klubie Ludowców” muszę odeprzeć jako zupełnie bezpodstawnie. Żaden z posłów P.S.L. w r. 1913 nie wysługiwał się obecnemu stronnictwu, z wyjątkiem wspomnianego wyżej kompromisisty Stapińskiego z konserwatystami. Wątpię, by ktokolwiek zajmujący się polityką wierzył,

by jakieś stronnictwo ofiarowało przeszło 1/4 swoich mandatów, aby wzmocnić swoją „bazę” u przeciwników. Walka wyborcza w r. 1911 pomiędzy ludowcami a narodowymi demokratami była zacięta. Doświadczyłem tego na sobie. Posiadam jeszcze plik ulotek, gazet z wymysłami, nawet potwarzami. Musiałem zaskarżyć pewnego potwarca, który został zasądzony. Po wyborach długo pisała prasa o burzliwych debatach, jakie się toczyły na ich temat w Kole Polskim między narodowymi demokratami a ludowcami. W r. 1913 istniała jeszcze silna niechęć pomiędzy posłami obu stronnictw. W tendencje antysemityczne a nawet pogromowe „Piasta”, redagowanego podówczas przez Bojkę, o których wspomina p. Rybacka, trudno uwierzyć tym, którzy znali przyjazny stosunek Bojki do Żydów. Sklepiki chłopskie to jeszcze nie antysemityzm.

W artykule swoim p. Rybacka nie zapomniała i o mnie. Wahala się, jak pisać, długo, czy odpowiedzieć p. Lasockiemu, „czy też ze względu na jego wiek sędziwy pozostawić go w spokoju”. Konsekwentnie odpowiedziała po upływie blisko pół roku, gdy nie stałem się przecież młodszy. Nad drobnymi docinkami rozwodzić się nie będę, odpowiem jednak na twierdzenie p. Rybackiej, iż ja „jako szef administracji państwowo-endeckiej”, „Komisji Likwidacyjnej” i „Komisji Rządzącej” „sprawowałem władzę za pomocą stanów wyjątkowych, pacyfikacji, egzekucji po 25 i 50 kijów na chłopca”.

Polska Komisja Likwidacyjna liczyła 23 członków. Między nimi było 6 ludowców — wśród nich Stapiński, który pomimo zgłoszenia się do rządu lubelskiego pozostał w niej do końca jej istnienia — tudzież 4 narodowych demokratów. Gdyby więc te dwa stronnictwa były zawarły sojusz, czego nie było — pozostałyby i tak w mniejszości. W komisji odgrywali socjaliści znaczną rolę i zajmowali ważne stanowiska.

Komisja była dzielnicowym rządem koalicyjnym wszystkich stronnictw polskich w Galicji a nie państwowo-endeckim.

Nie przeczę bynajmniej, że na mój wniosek P. K. L. uchwalila zarządzenie wyjątkowe: sądy doraźne. Powody tego zarządzenia podał żydowski organ „Nowy Dziennik” z 14 listopada 1918: „Jak nam komunikują z P. K. L. postanowiła P. K. L. jednomyślnie i w obecności wszystkich stronnictw wprowadzić w powiecie Brzeskim sądy doraźne z powodu licznych wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu życia, zdrowia i mienia”. Zaś „Naprzód” z tej samej daty pisał: „Sądy doraźne w powiecie brzeskim. Z powodu powtarzających się tamże ustawicznie rozruchów P. K. L. zarządziła ustanowienie sądów doraźnych”.

O rozmiarach rozruchów świadczyła relacja biura asystencyjnego generalnego sztabu w Krakowie z 30 grudnia 1918 o interwencji oddziałów asystencyjnych wojska w listopadzie i grudniu w 120 wypadkach, m. in. o przeszkadzaniu pogromom Żydów.

Wykonanie kilkunastu wyroków śmierci sądów doraźnych na bandach, zarządzenia władz administracyjnych, interwencja oddziałów wojskowych, obok starań ludzi dobrej woli (m. in. Średniawski) doprowadziły w końcu roku 1918 do normalnych stosunków bezpieczeństwa w całej zachodniej Galicji, z wyjątkiem tzw. „republik tarno-brzeskiej”, gdzie, wskutek niesumiennej agitacji rozruchy, grabieże, a nawet morderstwa trwały jeszcze w styczniu 1919. Komisarz P. K. L. Łącki, syn chłopski, gorliwy ludowiec, dalej komendant wojskowy pow. tarnobrzeckiego, zarząd miasta Tarnobrzega, przedstawiciele Żydów tarnobrzeckich i rozwadoków, również jak i spokojnej większości mieszkańców tej okolicy, a także Naczelny Związek Nauczycielstwa w imieniu nauczycieli, zwrócili się do P. K. L. o pomoc i ochronę. Wysłany oddział wojska przyjeżdżał w niektórych miejscowościach strzałami. Wojsko rozgromione przeprowadziło rewizję w poszukiwaniu broni, a gdzie ją znalaziono, wykonywano doraźnie chłostę na jej posiadaczach. Wtedy dopiero wydano w powiecie tarnobrzeckim około 2000 broni palnej, przeważnie karabinów, czego nie uczyniono przedtem na zarządzenie władz. Na postępowanie wojska oczywiście żadnego wpływu nie miałem. Nikomu stosowania kary chłosty nie polecałem.

Widocznie moje urzędowanie za czasów P. K. L. i Komisji Rządzącej nie było tak tyrankie, jak to sobie p. Rybacka wyobraża, kiedy przedstawiciele wszystkich stronnictw w tej komisji (m. in. przedstawiciele P. P. S.) przed jej rozwiązaniem — jak świadczy protokół z 26 marca 1919 — uchwalili jednomyślnie wyrazić uznanie i podziękowanie zarówno prezydium Komisji, „jak też administracji politycznej kraju, która z wzorową lojalnością i w należytych zrozumieniu publicznego dobra używała Komisji Rządzącej pełnego i skutecznego poparcia w całym zakresie jej urzędowania”. Działalność moja w okresie 1918/19 nie była zapewne ujemną kiedy otrzymałem za nią Krzyż Oświecenia Krakowa, Lwowskie Orleto, Krzyż Walecznych, tudzież za okres mojego życia do roku 1921 Komandorię Orderu Odrodzenia Polski „w uznaniu zasług położonych w ciągu długoletniej pracy publicznej dla dobra społeczeństwa polskiego.” (Monitor Polski 31.12.1921 r.).

Zygmunt Lasocki

*) Patrz: R. Rybacka „Rozmowa u starej zasłony”, „Wiś”, nr 48.

ruch ludowy*)

Maciej Czula

Zdradzieckie zakręty

Miło jest czasem — zwłaszcza na jesieni życia „podumać i potęknąć” za dawno przeszłymi zdarzeniami w ruchu ludowym, bo się można wiele z nich nauczyć. Przeżywa się wtedy emocje wtórnej niejako młodości, odczuwa żal, że te „lepsze czasy” bezpowrotnie minęły. Bo inne były czasy, inni ludzie, inna moralność, inne spojrzenie na świat. Kto by się np. mógł spodziewać, o czym dowiedziałem się w latach młodych, że kiedy w 1876/7 r. proboszczem kulikowskim pod Lwowem został — słynny już wtedy kaznodzieja, a niedługo i trybun ludowy ks. Stanisław Stojalowski, to gdy przyjeżdżał do Lwowa, aby robić w drukarni korektę swojego tygodnika ludowego „Wieńca — Pszczółki” — prosto potem jechał do pałacu namiestnikowskiego, ażeby być na czwartkowym prozonym obiedzie u namiestnika hr. Alfreda Potockiego. Zjeżdżała się tam na owe prozorne obiady sama arystokracja, hofraty w galowych strojach oraz biskupi. Dlaczego hr. Potocki zapraszał do siebie w każdy czwartek nie tak bardzo jeszcze znanego kulikowskiego proboszcza i dlaczego przyszły pogromca szlachty i kleru korzystał z tych zaproszeń? Kto tu kogo chciał oszukać i podejść, pozostanie tajemnicą — tyle tylko wiadomo, że sielanka ks. Stojalowskiego z arystokracją i wyższym duchowieństwem skończyła się dla niego nader żałośnie, bo inaczej skończyć się nie mogła. Gdy odmówił im posłuszeństwa odebrało mu probostwo i włożono z więzienia do więzienia. Robiła to ta sama arystokracja i wyższa biurokracja, która tyle pięknych słówek dla ks. Stojalowskiego na obiedzie u namiestnika miała i ci sami biskupi, którzy, gdy ich nie posłuchał — zamówili dla niego klątwę w Rzymie. Na flirtach przywódców ludowych z obszarnictwem, a później z jego spadkobierczynią — endecją żaden z nich dobrze nie wyszedł — i stąd popełniono tyle błędów w polityce ludowej.

Właścicielką Kulikowa, gdzie ks. Stojalowski był proboszczem — była wówczas jaśnie oświecona pani Kielanowska — podeszła już w latach matrona i ona te wieści zapisała jeszcze za życia ks. Stojalowskiemu z pominięciem rodziny. Kiedy jednak umarła — rodzina wszczęła o tę wieść proces z ks. Stojalowskim i zdaje się, że za cichą jego zgodą — sprawę w sądzie całkowicie wygrała. I nie to jest ważne, ale pytanie jakie byłyby dalsze losy pierwszych zaczątków ruchu ludowego w Galicji, gdyby np. ks. Stojalowski proces o wieść wygrał i ją się zamiast polityki gospodarczej na kilkusetmorgowym folwarku?

Inna „jaśnie oświecona” hrabina Potocka z Rymanowa — hojnie podobno w różnych okolicznościach (a miał ich dużo) ks. Stojalowskiego wspierała, pozostając długo cichą jego opiekunką.

Jakie były motywy, którymi kierowały się dwie ekscentryczne arystokratki w popieraniu wielkiego trybuna ludowego, pozostanie tajemnicą — można tylko z tego wnosić, że osobowość ks. Stojalowskiego musiała być pożądana i robiła swymi czynami odpowiednie wrażenie, skoro nie mogły się jej oprzeć nawet arystokratki.

Był to wódz odważny, zawzięty, ale dobry i kompromisowy. Gdy w czasie największych prześladowań osiadł naprzód w Czasy na Węgrzech, a potem w Białej na granicy Śląska, przez pokoje niskich jego progów redakcyjnych przewalały się nie tylko gromady chłopów i robotników, ale także inteligencji. Bywali tam współpracownicy pism zarówno klerykalnych jak konserwatywnych i postępowych, a nawet socjalistycznych. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, skoro w jednym z listów pisanych do przywódcy PPS, Daszyńskiego, pisał: „Czy do partii wstąpię, nie wiem — socjalistą już jestem(*)” — Wiedział się tam także ówczesnego redaktora „Słowa Polskiego” we Lwowie, a niedawnego wiceprezesa Krajowej Rady Narodowej prof. Stanisława Grabskiego. Gdzieś w r. 1908 odbywało się w Bochni zgromadzenie ludowe, na którym wystąpił zacięty już wtedy przeciwnicy ks. Stojalowski i Jan Stapiński. Przemawiał jeden to znowu drugi mówca, ale ponieważ obydwa byli nieładnie gracze i w szermierce słownej nie mógł jeden drugiego zważyć, szala zwycięstwa nie chciała się przechylić na żadną stronę.

Wówczas Stapiński wyprowadzony z równowagi przedłużającą się debatą rzucił pod adresem ks. Stojalowskiego jakieś ostrzejsze słowo, na które ks. Stojalowski zareagował uderzeniem Stapińskiego w twarz.

Stapiński nie obraził się, ale przybrałszy na takie „dictum” odpowiednio bolesną minę — wyrzekł donośnym głosem: „To dla ludu.” Efekt tego słowa musiał być nadzwyczajny skoro po nim zwycięstwo przechyliło się wyraźnie na stronę Stapińskiego.

I jeszcze jedno o ks. Stojalowskim wspomnienie: Kiedy w r. 1906 robił ks. Stojalowski objazdy po wioskach podkrakowskich, zawitał i do mojej wioski Grabie, gdzie odbył w niedzielę wielki wiec pod gołym niebem. Ówczesny proboszcz w Grabiu ks. Józef Raźny przerażony najazdem na jego parafię niedawno wykletego „konfratry” i w

obawie, żeby ks. Stojalowskiemu nie zachciało się odprawić w kościele mszy św. zabrał klucz od kościoła — i zaniechawszy odprawienia nabożeństwa uciekł do Niepołomic, skąd wrócił — gdy ks. Stojalowski już odjechał. Oczywiście ludzie łącznie z kobietami i dziećmi — nie mogąc się dostać do kościoła — poszli tłumnie na wiec, przez co wypadł on nader imponująco. A gdy się potem ktoś żartobliwie zapytał idących z wiecu ludzi, co by woleli nabożeństwo, czy wiec — jeden z chłopów odpowiedział dyplomatycznie: „Nabożeństwa mamy co niedzielę, a na ks. Stojalowskiego czekaliśmy kilka lat” Oto jak politykowano przed 50 laty.

Los zdarzył, że w r. 1922 zjechał do Tarnowa, gdzie wtedy mieszkałem, z odczytem o Japonii znany powieściopisarz Wacław Sieroszewski. Odczyt urządził i salę odstąpił miejscowy Komitet P. P. S., który kilka zaproszeń wysłał także do Komitetu P. S. L. Udaliśmy się na odczyt gremialnie. Cóż, skoro sala była tak przepełniona, żeśmy z trudem osiągnęli mały zaledwie kącik do stania. Zauważył to prezes P. P. S., prof. Kasper Ciołkosz (zginął w Oświęcimiu) i zaprosił nas na pierwsze siedzące miejsce. Gdyśmy mu potem dziękowali odparł „Politykowanie może mieć tylko wtedy pełną wartość — gdy przeciwnicy nie tylko walczą, ale potrafią także znosić się i szanować wzajemnie. Inaczej zżarłaby nas nienawiść — a do tego nie należy dopuszczać.” W tym samym roku w okresie wyborów wychodziło w Tarnowie pismo P. S. L. pt. „Lud Polski”. Był to okres dość napiętej walki z endecją i tarnowskim duchowieństwem, które pod opieką Biskupa Wałęgi chciało za wszelką cenę położyć ludowców. Nie można było do tego dopuścić — stąd też na ataki politykującego Kościoła — odpowiadało się śmiało i dobitnie, a że poniekąd księżynie oberwało się czasem nawet więcej, niż na to zasługiwał, na to nikt uwagi nie zwracał. Ba, ale właścicielką drukarni, w której drukował się „Lud” niejaką p. Piszowa — namówiona widocznie przez księży oświadczyła nam pewnego razu, że jeżeli ataków na księży nie zaprzestaniemy — wymówi nam druk gazet! A tu wybory na karku. Co robić? Jakis czas ulegamy jej tedy — a w międzyczasie robimy wszystko, żeby uzyskać od niej podpisanie umowy na 3 miesiące. Gdy się nareszcie to udało, księża i endecy dostawali tak potężne ciągi, że z kretesem wybory przegrali, a pełne zwycięstwo odniosło Polskie Stronnictwo Ludowe!

Powyższe wspomnienia nasuwały mi się przy czytaniu artykułu ob. Rozalii Rybackiej w nr 48 „Wiś” pt. „Rozmowa u starej zasłony”, bowiem jeśli chodzi o przeszłość ruchu ludowego powinno się z niego wydobywać tylko zdarzenia pogodne, takie, które temu ruchowi przynoszą zaszczyt i chwałę, albo, które czegoś uczą młode pokolenie, ale nie powinno się rozdzierać ran, które nie dawno zasklepy.

Ob. Rybacka pisze, że „gęsta zasłona okrywa nie tylko moment założenia „Piasta” ale i cały długi okres poprzedzający ten moment...” „starano się grubą zasłoną kłamstw i legend zakryć przeszłość ruchu ludowego i zasłonić zdradziecki zakręt na rozstaju...”

Ob. Rybacka, jeżeli jest historykiem, zna zapewne kapitalną książkę traktującą wy-czerpująco o rozłamie w P. P. S. w r. 1913, mianowicie, Pamiętniki wodza polskiego socjalizmu Ignacego Daszyńskiego, oraz pracę Stanisława Szczepańskiego pt. „Z dziejów ruchu ludowego w Polsce”. Cóż tam czytamy? „Obrzydliwa sprawa pieniędzy rządowych, które p. S. otrzymał bezpośrednio z rąk konserwatystów, żeby p. S. L. popierało rząd rozległa się szerokim echem po całym kraju. W dniu 22 stycznia 1913 r. (parę miesięcy przed rozłamem) ofiarował poseł dr. J. p. S. 80.000 koron pochodzących od rządu(*)”. A. St. Szczepański, wówczas członek Rady Naczelnej P. S. L., a późniejszy poseł „Wyzwolenia” pisze w tym przedmiocie następująco: „Konszachy z konserwatystami miały początek w r. 1907, a w r. 1911 skrojono pakt z konserwatystami...”

Czy Ob. Rybacka nie mogłaby nam wytłumaczyć, kto stał wówczas na czele P. S. L.?

Można śmiało przypuścić, że ówczesny prezes P. S. L. nie użył pobranych od rządu austriackiego pieniędzy (80.000 kor.), o czym wspomina Daszyński, na swoje osobiste potrzeby, ale wydatkował je na potrzeby ludu i stronnictwa, na kupno drukarni itd. Tego rodzaju fanatycy idei nigdy nie dbali o osobiste zyski. Ale fakt przekupstwa był niestety dowiedziony i większość obywateli posłów ludowych musiała z tego wysnuć konsekwencje całkiem niechwalne. I te zdarzenia były przyczyną rozłamu w r. 1913, a nie jakieś endeckie zabiegi, co stara się sugerować czytelnikom p. Rybacka. Że endecja a także i inne stronnictwa miały zawsze

pobożne życzenie korzystania z rozłamów w P. S. L. jest więcej jak pewne ale, że im się to nie zawsze udawało, to także prawda.

Endecja tak słabe zapuściła korzenie we wsi polskiej, że nigdy dla ludowców groźną partią nie była — mandaty zdobyła przeważnie w miastach, rzadko we wsiach. Gdy w r. 1922 przy wyborach do Sejmu endecy wznieśli w okręgu tarnowskim niesłychanie silną agitację, a kandydat ich adwokat Kowalski „cudów waleczności” dokonywał, żeby mandaty uzyskać niektórzy słabi ludowcy obawiali się ich zwycięstwa. Tymczasem ich kandydat ośmieszył się małą ilością rzucających na niego głosów tak gruntownie, że uciekł jak niepyszny z Tarnowa. Wszystkie 7 mandatów zdobyli ludowcy.

Endecja była mafią bez skrupułów i bardzo niebezpieczną, ale na wieś nie mieli endecy pociąg przyciągać, bo ich chłopci nie słuchali. Nie wiem dlaczego ob. Rybacka taką wielką wszechmoc im przypisuje? Nie chciałbym być tutaj adwokatem „Piasta”. Wiem, że to stronnictwo miało okresy wzlotów i upadków, że zrobiło dużo dla ludu, a wiele zrobić zaniedbało. Ale jednocześnie nie chciałbym twierdzić, że byli to ludzie w tym okresie, o którym wspomina ob. Rybacka — nieuczciwi. Troska o lud i poprawę jego doli była naczelnym programem ich działalności. Ob. Rybacka cytując wyjątek z 2 nr „Piasta” 1913 — gdzie znajdują się niepoehlebne słowa o socjalistach i postępowcach.

Otóż każdy, kto zna choć pobieżnie stosunki w redakcjach pism politycznych, ten wie, że co innego jest pewna linia wytyczna i program danego stronnictwa, a co innego wypowiedź takiego czy innego redaktora. Wypowiedzi wodzów stronnictw i artykuły w organie naczelnym powinny się pokrywać, ale częstokroć się kłócą ze sobą. W tym czasie redaktorem „Piasta” był nominie Jakub Bojko, faktycznie redagował go w mieszkaniu posła i późniejszego ministra dra Franciszka Bardla przy Małym Rynku w Krakowie dr. Jan Gagatęk, któremu później za rozmaite nadużycia Sady odebrały doktorat. Bojko ani Witos podobnych artykułów nigdy nie pisał.

Jeżeli chodzi o stosunek do innych, zwłaszcza demokratycznych stronnictw, to był on zawsze jak najlepszy — walki ideologiczne w prasie i na wiecach trwały nieraz z wielką zaciętością, ale przeciwnicy szanowali się nawzajem i długie godziny nieraz ze sobą konferowali.

Teraz co do Sredniawskiego. Nie czytałem „Nowych Dróg” nr 1, więc, nie wiem, w jak ujemnym świetle go tam przedstawiono. Jeżeli jednak napisano o nim źle, to mu zrobiono może krzywdę. Sredniawski należał do typu chłopów bardzo inteligentnych, mądrych, ale zarazem konserwatywnych. Był człowiekiem nader uczciwym, pracowitym i uczonym, ale trochę i upartym nudziarzem. Zainteresowania jego były zawsze jednostronne. Był niezłym ekonomistą, ale słabym politykiem. Do dzisiejszej rzeczywistości z trudem tylko mógłby się przystosować, ale wrogiem nowego ustroju nigdy by nie był. W swoim okręgu znanym był za niezwyklej pracowitości, usłużności, bo nie było dobrej sprawy, szkoły, fabryki czy pożytecznego Towarzystwa, do których rozwoju by się nie przyczynił. Cóż więcej od niego chłopca — ożenionego ze szlachcianką można było żądać?

P. S. L. „Piast” było w swoich początkach i długo potem jeszcze nie tym „co lud tumani i z niego drwi”, jak zaznacza Rybacka, ale stronnictwem demokratycznym, szczerze ludowym i postępowym. Tysiące pracowników i działaczy ludowych, co poszli w jego służbę szerzyć jego idee i oświatę, podnosić lud wysoko, zalicza te dnie — pracy i walki o dobro chłopów do najpiękniejszych w ich życiu. Pracowali z oddaniem, zapałem i poświęceniem, a jeżeli nie zawsze okazały się pełne owoce ich pracy, lub jeżeli przywódcy, szli gdzie indziej niż żądali masy, nie mogą one za to w żadnym stopniu ponosić odpowiedzialności.

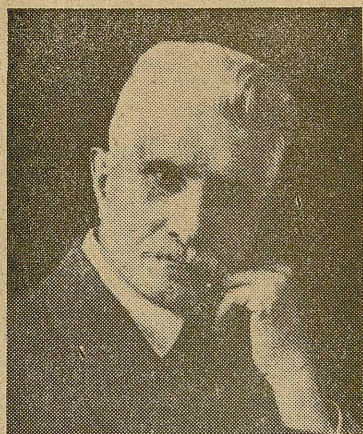
Nie żadna „gęsta zasłona”, ale otwarte, szczerze przedstawienie wypadków i zdarzeń zaszłych w ruchu ludowym i rozwoju stronnictw ludowych — powinno być naczelnym przykazaniem tych, co chcą pisać jego kronikę.

Maciej Czula

*) Sprawa przełomu w galicyjskim ruchu ludowym z lat 1911 — 13, kiedy to powstaje „Piast” nie należy tylko do historii.

I we współczesnej praktyce politycznej tradycje tamtego okresu dochodzą jeszcze do głosu. Za przykład mogą służyć głosy Z. Łasockiego i M. Czuli. Dowodzą one konieczności podjęcia gruntownej rewizji historycznej. Wspomnienia, w których walory moralno-osobowe, występują jako jedyne kryteria oceny procesów polityczno-społecznych, nie mogą stanowić ani podstawy do poznania materialowego ruchu politycznego, ani tym mniej metody badawczej społecznych walk. W najbliższych numerach zbioru głos w dyskusji R. Rybacka i J. Tepicht.

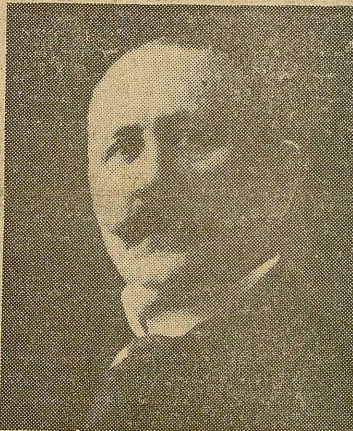
Redakcja.



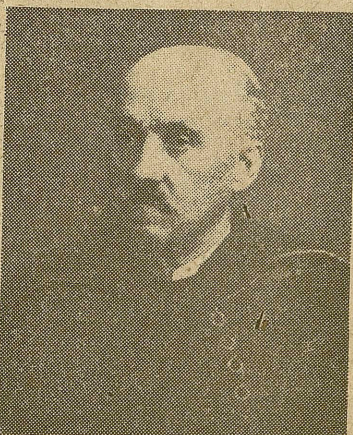
Ignacy Daszyński



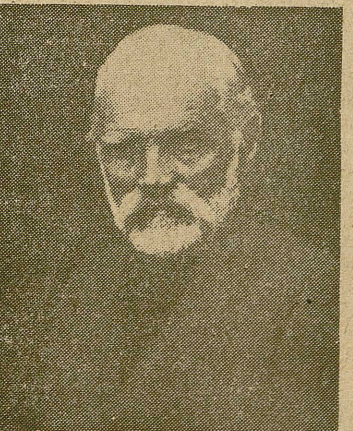
Wincenty Witos



Władysław Długosz



Jakub Bojko



Andrzej Sredniawski

*) I. Daszyński, Pamiętniki, Tom I str. 125.

*) Ignacy Daszyński — Pamiętniki 2 t. str. 132—3.

**) St. Szczepański: „Z dziejów ruchu ludowego w Polsce” str. 32 — 2.

TURGIENIEW — DOS

Tadeusz Chróścielewski

Lud u zachodowca



Iwan Siergiejewicz Turgieniew

W 1860 roku, w redakcji petersburskiego miesięcznika literacko-społecznego „Sowremiennik” — od roku 1847 bojowego organu radykalnych ludowców, najpoważniejszego i najsmielszego pisma opozycyjnego połowy XIX w. w Rosji — nastąpił rozłam. Z głośnym trzaśnięciem drzwiami ustąpił z niej I. S. Turgieniew. W ślad za nim odeszli: L. Tolstoj, Gonczarow i Grygorowicz. Fakt ten zaszedł na kilka miesięcy przed ogłoszeniem Manifestu z dnia 19 lutego, w którym Imperator Wszech-Rosji, podnosząc „zawsze miły sobie lud pańszczyźniany do najwyższej Łaski”, kasował „po wsze czasy” pańszczyznę. Jednocześnie wydzielenie ze skarbu państwa olbrzymich sum przeznaczonych na długoterminowe pożyczki umożliwiło chłopom nabyć części ziemi, którą dotąd uprawiali, na własność. Było to formalne spełnienie lub też wyjście naprzeciw szeregowi postulatów, które od lat twarzą i z całą gwałtownością, na jaką tylko pozwalała cenzura, stawiał „Sowremiennik”. Zwycięstwa tego magna pars — jak powszechnie uważano — był Turgieniew. Poufny okólnik Ministra Oświaty z roku 1852 określał jego cykl nowelistyczny „Z notatek myśliwego” jako książkę „nad wyraz szkodliwą”, rozprzestrzeniała bowiem „nieprzystojne sądy o szlachcie, mogące umniejszyć szacunek dla tegoż stanu w oczach czytelników stanów podległych”. Wydanie noweli — przypało na ostatnie lata panowania Mikołaja I — pociągnęło za sobą dymisję cenzora i zesłanie samego pisarza na kilkumiesięczny przymusowy pobyt w rodzinnym majątku. Sytuacja zmieniła się zasadniczo, gdy na stołcu Romanowów zasiadł „dobrotliwy” Aleksander II, któremu... współczesność po roku 1861 nadała zaszczytny przydomek: „Oswobodziciela”. Jeden z powodów tej zmiany wyjaśnia po latach sam sędziwy już Turgieniew w rozmowie z Gautierem, Flaubertem i Goncourtami: „Turgieniew opowiadał o swym uwięzieniu, poczem zamilkł na chwilę i rzekł: Gdybym chciał się tym chlubić, to kazałbym, by na moim grobie wyryto, że napisałem książkę dla wyzwolenia niewolników. Cesarz Aleksander kazał mi powiedzieć, że lektura tej książki była jednym z powodów jego decyzji” (z pamiętników braci Goncourt — sobota 2. 3. 1871).

Przyczyny rozłamu redakcyjnego właściwie — o ile się można zorientować — były błahe. Turgieniew nie zgodził się z pozytywną na ogół recenzją Dobrolubowa o jego powieści „Nakanunie” („Przed świtem”). Recenzja zatytułowana: „Kiedyż wreszcie na stanie dzień?” wyciągała z powieści daleko idące w swym radykalizmie wnioski, na które autor się nie pisał.

Rozłam sam jest wydarzeniem historycznym. Był to widoczny znak przecięcia się tradycyjnej już wtedy linii postępowego szlachecko-inteligenckiego społecznictwa z linią nową, z nierównie dalej idącym programem, jaki niosły rwące się do odegrania roli politycznej młode warstwy społeczne. Od czasu rozłamu zespół redakcyjny to już tylko „raznoczyńcy” — ludowcy z bardzo różnych środowisk społecznych: synowie diaków, mieszczan i chłopów, którzy zdołali się jakoś przedrzeć przez szkołę średnią — Czernyszewski, Dobrolubow, Uspieński, Resznetnikow, Pomiatiowski i inni. Czarą ustawił rozłam w kontekście procesów społecznych i politycznych, które wystąpiły na powierzchni życia publicznego z powstaniem dekabrystów, a których bynajmniej nie zakończył Manifest Lutowy.

IDEOLOGIA PAŃSZCZYŹNIANA

Reżim carski ujął ją w potrójny slogan: „Carat — prawosławie — tradycja”. Sprowa-

dzał się on do utrzymania za wszelką cenę w stanie dziewiczym feudalnego ustroju społeczno-gospodarczego i osiemnastowiecznego absolutyzmu, mimo, iż dynamiczne prądy polityczne i gospodarcze przekształcały w szybkim tempie życie Europy i świata. Skutki lekceważenia praw rozwoju dały na siebie czekać jedynie 30 lat, kiedy to młodszy brat zwycięzcy „Bonaparta i czterdziestu języków” przeciwstawiwszy potencjałowi gospodarczo-militarnemu państw kapitalistycznych Zachodu potencjał państwa Fryderyka Wielkiego zmuszony został do przyjęcia upokarzających warunków pokoju. Katastrofa odstonowała ziemianstwu tragiczne skutki idylli. W 1850 r. rolnictwo rosyjskie przeżyło ostry kryzys. Mimo dobrej koniunktury na zboże — wzrost cen płodów rolnych w Anglii — rynki zbytu zagarnęło tanie zboże pruskie, a przede wszystkim amerykańskie „produkowane zupełnie w innych warunkach przyrodniczych i inną ekstensywną techniką”). Były to dopiero początki ofensywy zboża amerykańskiego, która w latach następnych spędzała sen z oczu wszystkim europejskim producentom. Jakież możliwości konkurencyjne miała w epoce zaawansowanego ustroju kapitalistycznego wielka własność rosyjska, mająca do dyspozycji warsztaty rolne przestarzałe, oparte na nierównomiernie rozmieszczonym robotnikowi darmowemu — pariasie, niezainteresowanemu, więc źle pracującym, nieumiejętnie eksploatowanemu. Komitety do Spraw Włościańskich powołane w 1857—8 roku do szczegółowego opracowania reformy wykazały, że koszty własne folwarku pańszczyźnianego przewyższają o 35proc. koszty majątku opartego na najemniku.

Przestarzała struktura pańszczyźniana paraliżowała rozwój przemysłu, którego wielkie możliwości znane były od czasów Lomonosowa, oraz handlu.

Po wojnie krymskiej — początkowo — zbiegały się paradosalnie drogi konserwatywnego ziemianstwa i postępowej opozycji. Rozeszły się, gdy wiadomym stał się kierunek reform: wzmocnienie pozycji gospodarczej szlachty i uzależnienie w tym samym, co dotąd, stopniu wyzwolonych i uwłaszczonych chłopów.

OPOZYCJA

Pierwsze pokolenie — to dekabryści — przedstawiciele wyższych sfer inteligencji i niepopularnej na dworze arystokracji. W kształtowaniu ich myśli społecznej opartej o wzorzec Karty Praw Człowieka i Obywatela i frazeologię „Marsylianki” dużą rolę odegrał brak szerszych perspektyw na awans społeczny przy słabo rozbudowanym i obsadzonym według klucza dworskiego aparacie państwowym. O powinowactwie ideologicznym zadecydowało tradycyjne wychowanie francuskie i dwukrotne Aleksandra II balansowanie ku wczesnemu liberalizmowi. „Dekabryści” — pisze Gomolicki! — „myśleli na sposób ludzi Oświecenia: samotny bohater walczy z carskim absolutyzmem sam na sam, poza historią”. Izolacja, niezainteresowanie swym programem żadnej grupy społecznej, zadecydowało o przegranej romantycznego wystąpienia zbrojnego.

Drugie pokolenie opozycjonistów — lata 1830 — 45 — to młodzież uniwersytecka — często zdeklasowani ziemianie siedzący za pulpitemi z tym samym co ich poprzednicy przeświadczeniem, że nie ma dla nich miejsca w życiu. Wytwarza się typ ludzi przegranych, czujących swą zbędność — „lisznic”. Uciekają oni od życia w narkozie oderwanych spekulacji filozoficznych — Schelling, Hegel. Nie czując sił do walki, zadowalają się marzeniem o nieokreślonej bliżej sprawiedliwości społecznej. Tak ich zastaje utopijny socjalizm Saint-Simona. Zjawisko kół studenckich: na początku 30-tych lat kółko Stankiewiczów, przy końcu okresu — „pietraszewcy”. Z kół wyłaniają się z czasem dwie grupy, z których jedna również się rozdziela: 1) Zachodowcy — liberałowie, głoszący, że Rosja musi stać się państwem liberalnym o ustroju jakiegoś idealnego państwa zachodniego, w którym nie istniałaby gra sił społecznych. Przeciwnieństw między zachodem a wschodem szukali oni w samym caracie i w interpretacji pojęcia „własność”; nie dostrzegali odrębności struktury społecznej — warstwy panującej: tu ziemianstwo, tam burżuazja. 2) Słowianofile — pragnący odciąć się od zachodu i nawrócenia do mitycznego ludowego ustroju wiecowego.

Część zachodowców — skłoniła się w 40-tych latach do utopijnego socjalizmu — Bielinski, Hercen, Niekrasow. Cechuje ich radykalizm, żądają niezbyt jasno określonej Rosji Ludowej. Przed ludem widzą „historyczne zadania przyszłości” (Bielinski). Z tej grupy sądzone było jedynie Hercenowi zetknąć się w ostatnich latach życia z socjalizmem naukowym. Lud znają słabo. Po wyjeździe Hercena i śmierci Bielinskiego ludowcy grupują się przy „Sowremienniku”, przy czym inicjatywę obejmuje już trzecie, a zarazem pierwsze pokolenie społeczników, na których nie ciąży szlachectwo. Legitymują się też oni większą, lecz bynajmniej niedostateczną znajomością ludu.

Cechą łączącą poszczególne grupy był prze-

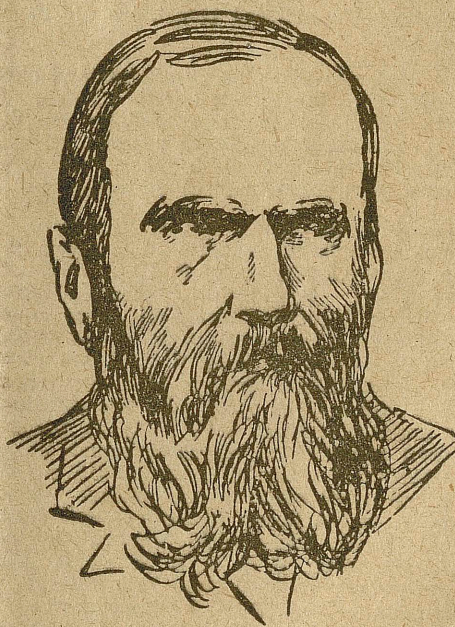
rosts marzenia nad działaniem. Umieli jednak spopularyzować swoje poglądy, przy czym zjednali sobie także część inteligencji ziemiańskiej. Tu gdzieś leżało źródło zachodowstwa oscylującego ku socjalizmowi ludowemu — Turgieniewa.

„Z notatnika myśliwego” pokazuje niemal wszystkie kategorie chłopów pańszczyźnianych od zwykłego parobka do chłopów półwłasnego, półwolnego i przez to psychicznie wykołowanego. Rozmaitości typów chłopów towarzyszy galeria postaci pomieszczyków, od ograniczonych sadystów do liberałów. Szlachta przedstawiona na ogół w ciemnych barwach, w wielu nowelach na pierwszy plan wysunięta sprawa skrzywdzenia godności ludzkiej w chłopie. Problem ten w literaturze rosyjskiej miał już za sobą bogatą tradycję. Zaczęła się ona od „Biednej Lizy” sentymentalisty Karamzina, której treścią jest niedola dziewczęcia wiejskiego uwiedzonego przez płochego panicza, następuje „Dziwny człowiek” i „Saska” Lermontowa, powieść Hercena „Soroka - W. rowka” i młodzieńczy poemat Turgieniewa „Parasza”. Na czytelnika wychowanego od dwóch pokoleń na takiej powieści to uczuciowe podejście do sprawy pańszczyźny najbardziej oddziaływało. Węzeł zezłanianie na czarną robotę na wieś biednej Ariny, ongiś najbardziej lubianej pokójki dworu za to tylko, że ośmieliła się upadły do nóg poprosić panią o pozwolenie wyjścia za mąż, gdy dziedziczka od dawna mówiła, że nie pozwala na związki małżeńskie czeladzi dworskiej. Węzeł pomieszczyk Stogunow przysłuchujący się z satysfakcją pluskowi bąta padającego na plecy Wasi — bufciarza, którego nieludzko ukarał za dość błahe wykroczenie.

Chłopi ukazywani przez Turgieniewa — (realista Turgieniew wyjątkowo tylko postuluje się upraszczającą idealizację jak np. Jasko - Turek w „Pieścach”) — prototyp „Janka Muzykanta”) — posiadają szereg cech wspólnych: wysokie poczucie moralności i przyzwoitości, sprawiedliwość, przywiązanie (Jermolaj), wierność, pogodzenie się z losem. Nie pokazuje Turgieniew chłopów mściwego, zazdrośnego, marzącego o odwecie, nie wywołuje ani razu widma Puchaczowa. Zamierza pisać wprawdzie o samosądzie chłopów nad zezwierzęciami dziedzicem — zwierza się z tego w liście do Annenkowa. Jednakże zamiaru nie realizuje — jak przypuszcza radziecki historyk literatury Zjerczaninow ze względów cenzuralnych. Moim zdaniem przyczyną należałoby szukać w samej ideologii Turgieniewa. Nowele jego rozbrajały nieufność ziemianinów do chłopów. Między wierszami ziemianin mógł wyczytać, jakie skutki dla warsztatu pracy pociąga za sobą nieprzemysłowa, rabunkowa gospodarka człowiekiem — zapuszczony las folwarku Riabowo (nowela „Burmistrz”) — obraz wynędzniałych chłopów osuwających się na ziemię, gdy się na nich nie patrzy.

Maria Janion

Mieszczański humanitaryzm



Teodor Dostojewski

W świadomości ogółu twórczości Dostojewskiego jest jedna z niewzruszonych pozycji dorobku klasycznej literatury świata. Jego ranga wybitnego artysty zdaje się nie budzić niczyich zastrzeżeń i nie prowokować do żadnych rewizjonistycznych zapędów. Należał do stanowiska Dostojewskiego, jako ideologa jest dotychczas dla krytyki literackiej problemem spornym. Ludzie skrajnie przeciwnych obozów cytują jego dzieła dla poparcia swych tez. Krytyka z całą swobodą mianuje go naprzemian wieściami, zapowiadającym rewolucję proletariacką lub głową reakcji europejskiej. Już za życia Dostojewskiego krążyły o nim sprzeczne opinie. Młodzieńcze jego utwory spotkały się z entuzjastyczną oceną wodza ówczesnej krytyki radykalnej, Bielinskiego. To ugruntowało literacką sławę Dostojewskiego, jak również jego pozycję w obozie postępu. Za postępowca uważali go także przedstawiciele nieco młodszej krytyki: Dobrolubow i Pisariew. Dla następnego pokolenia radykałów, ludzi lat 80-tych, jak Michajłowski i Tkaczew, Dostojewski jest już reakcjonistą, jednym z

Postępowe „Notatki myśliwego” okazały się — jak widać — idealną broszurą propagandową, z jednej strony rozpraszającą lek szlachty przed rozluźnieniem stosunków służbowych, z drugiej strony wykazującą ekonomiczną niezbędność reform. Jasne teraz, dlaczego drugie wydanie utworu (rok 1856), który był za Mikołaja I na indeksie, spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem i ze strony światłej części ziemianstwa i ze strony ludowców. Ta społecznie wsteczna funkcja pojmanego jako ostry protest społeczny utworu nie była zapewne jasna ani dla redakcji „Sowremiennika” ani dla samego autora. Liberał — zachodowiec czuł się ludowcem, nie mógł jednak nie myśleć kategoriami szlacheckimi. Toteż gdy drogi „Postępu” szlacheckiego i ludowego po okresie mgły ideologicznej się rozeszły, gdy wódz ludowców — Czernyszewski ryknął w powieści: „Prolog”: „Ziemia tylko dla chłopów! Nie ma wykupu. Nawiewaj szlachta pókiś cała!” autor „Ojców i dzieci” pozostał sam. Pozycja jego w kołach ludowych nie dała się utrzymać. To stanowi o jego tragedii jako pisarza i człowieka. „Szlacheckie gniazdo” wydrukowane w roku 1859 w „Sowremienniku” — to omyłka pisma. Redakcję zwiodło kilka ujemnych postaci pomieszczyków oraz wykazanie braku sił życiowych całej warstwy — jest ono wyraźnym uzupełnieniem ideologicznym noweli: apoteoza cichego dworku, troska o uzdrowienie moralne warstwy szlacheckiej, w epilogu wezwanie do energicznego zajęcia się majątkami i modernizacją ich, co byłoby skutecznym lekarstwem na mizantropię i schorzenia psychiczne. Wyjeżdżając za granicę wraca Turgieniew na pozycję nieokreślonego zachodowca. Program, jaki stawia nowemu pokoleniu w powieści „Dym”, to jedynie nieokreślona „służba cywilizacji”, kulturalne podciąganie Rosji wzwyż — postulat niezbyt jasnej europejskości. W stosunku do aktualnych ruchów społecznych w Rosji Turgieniew zajmuje postawę li tylko zatrokanego obserwatora. W żadnej z następnych, doskonałych artystycznie i bogatych w materiał socjologiczny powieści — „Ojcowie i dzieci”, „Dym” i „Nów” nie mówi nie o kapitalizmie, nie widzi mieszczaństwa i rosnącej w 70 latach klasy robotniczej, widzi jedynie w dalszym ciągu ziemianstwo i lud. Zresztą nie on jeden. Był to błąd całego ruchu ludowego lat 60 i 70. Dlatego też po rozwianiu się marzeń o rewolucji ludowej w większym stylu dźwiałe ludowi wykołującej się na ludomanię — („choźdnie nie w narod” grupy „Ziemia i Wola”). Wzrastający rozdźwięk między starym pisarzem a nowym pokoleniem przyprowadza go o historię twórczą. Kilkakrotnie postanawiał złamać pióro, które znów wkładał mu do ręki nałóg obserwatora. To zachowanie się Turgieniewa wykiłwa w „Biesach” ideolog drugiego pokolenia Teodor Dostojewski, widząc w tragedii duchowej społecznika lat 50 jedynie komediantów.

najniebezpieczniejszych wrógów rewolucji. Współczesna krytyka sowiecka również nie zdobyła się na jednolite stanowisko wobec Dostojewskiego. Zjawisko to da się wytłumaczyć tym, że twórczość Dostojewskiego z okresu poprzedzającego pobyt w katorżce i twórczość jego od lat 60-tych, reprezentują ideologie krańcowo różne. Krytycy, badający dokładniej jedno z Janusowych oblicz twórczości Dostojewskiego, skłonni są dopatrywać się analogicznych rysów w całokształcie jego spuścizny literackiej. Tak czyni niechętny Dostojewskiemu, bo zrażony reakcyjnością jego drugiego okresu, Jermolow lub Dolinin, entuzjasta „integralnej rewolucyjności” Dostojewskiego. Ostrożniejszym zwolennikiem tej tezy jest Kirpotin, autor sumiennej i wnikliwej książki o młodym Dostojewskim.

Badania krytyki sowieckiej doprowadziły do słusznej interpretacji pozycji społecznej Dostojewskiego oraz do ustalenia trafnych jej związków z całokształtem sytuacji politycznej i ekonomicznej, ówczesnej Rosji. Zastanawiającym jest jednak fakt, że nie doprowadzono pracy do końca, nie wyciągnięto narzucających się wniosków z przygotowanego materiału, nie stworzono jednolitego i konsekwentnego obrazu pisarza. Czym wytłumaczyć ową wyraźną sprzeczność w ocenach współczesnych świadków jego działalności literackiej i nieustalone dotąd stanowisko krytyki radzieckiej?

Uproszczonej schemat interpretacji psychologicznej podsuwa tu znany motyw: zmiana poglądów — przełom duchowy, który dokonał się w psychice Dostojewskiego pod wpływem przeżyć w katorżce. Tak piszą krytycy — idealisci (Szeztow, Rozanow), znajdując poparcie swych wywodów w „Dzienniku” Dostojewskiego, wspomnianego o przekształceniu się jego poglądów. Ta duchologia nie wytrzymuje krytyki naukowej — właściwe światło rzucić może na zagadnienie jedynie odwołanie się do sfery faktów konkretnych, do rzeczywistości społecznej, kształtującej twórczość pisarza.

Młody Dostojewski był rewolucjonistą. Rewolucjonizm ten to druga poprawiona i nieco edycja szlacheckiego ruchu dekabrystów. Dostojewski należał do kółka pietraszewców, rewolucyjnego odłamu rosyjskich zachodowców, których ideologia kształtowała się w dużej mierze pod wpływem Bielinskiego. Zasadniczym problemem koła było oczywiście dążenie do zniesienia pańszczyzny — ta wiel-

TOJEWSKI — GORKIJ

ka siła napędowa rosyjskiej historii pierwszej połowy XIX wieku. Dostojewski był jednym z organizatorów skrajnego skrzydła pietraszewców tzw. durowców. Było to ugrupowanie nawskroś rewolucyjne o ideologii wywodzącej się z socjalizmu utopijnego. Biełłinski, jako mistrzyni tego kierunku, „gwiazdę zbawienia, Joannę d'Arc XIX wieku”, wskazywał pietraszewcom... George Sand. Dostojewski był jednym z najradzykalniejszych durowców: realizując idee utopijnego socjalizmu stworzył pierwszą w Rosji komunistyczną wspólnotę mieszkaniową.

Pietraszewcy, a szczególnie durowcy w odróżnieniu od szlacheckich dekabrystów rekrutowali się przeważnie ze sfer mieszczańskich. Rosyjskie mieszczaństwo nie pokrywa się w pełni z burżuazją zachodnio-europejską. Do mieszczaństwa nie zalicza się zazwyczaj w Rosji bogatej warstwy kupieckiej o silnie ugruntowanej pozycji społecznej. Mieszczaństwo to ubodzy rzemieślnicy, drobni urzędnicy, sponiewierana inteligencja — wszyscy „skrzywdzeni i poniżeni”.

Były to kręgi socjalne bliskie Dostojewskiemu. Ojciec jego był synem popa, z zawodu lekarzem. Szlachectwo Dostojewskich było niezbyt pewne i dość świeżej daty. Rodzina Dostojewskich próbowała wszelkich środków by wywyższyć się z dna społecznego. Próba wejścia do sfery ziemiańskiej poprzez kupno majątku skończyła się tragicznie: chłopci doprowadzeni do rozpacz wyzyskiem stosowanym przez nuworyszów zamordowali ojca pisarza. Druga droga do awansu społecznego — nauka — zawiodła także: — ex inżynier, młody obiecujący pisarz nie zdobył arystokratycznych salonów, pozostał przez całe życie „inteligentnym proletariuszem”. Taką sytuacją społeczną wyznaczyła solidarność Dostojewskiego ze sferą mieszczańskich raznochynów, którzy swego głównego wroga dostrzegli w rozkładającym się feudalizmie, dość silnym jednakże, by spowodować ich socjalne upośledzenie. Grupa ta była produktem narastającego kapitalizmu rosyjskiego.

Od roku 1826, pamiętnego subienicami dekabrystów, do roku 1846 liczba fabryk i robotników w Rosji wzrosła więcej niż w dwójnasób, mimo utrudnień stawianych rozwojowi gospodarki kapitalistycznej przez gnijący już, lecz jeszcze dość silny ustrój feudalny. W 30 latach głośne były wywody Zablockiego — Diesiatowskiego, że praca pańszczyzniana jest mniej wydajna, niż wolno najemna, że istnienie pańszczyzny jest powodem gospodarczego zacofania Rosji.

W walce z przeżytkami ustroju feudalnego **jednaczyli się więc kapitalizm i utopijny socjalizm radykalnej inteligencji**. Było to podówczas niewątpliwie działanie leżące na linii postępu.

Dostojewski określił swą twórczość jako nowe, niepomieszczone słowo. Ta antyszlachecka atmosfera jego pierwszych utworów łączy się z humanitaryzmem „Biednych ludzi” i „Skrzywdzonych i poniżonych” („Okazuje się, że najbardziej zahukany, ostatni człowiek jest także człowiekiem i nazywa się twoim bratem”) — to właśnie historyczna walka o honor upośledzonego socjalnie i towarzysko mieszczaństwa. Książę Wałkowski — „czarny charakter”, rujnujący szczęście „skrzywdzonych i poniżonych” stojących niżej socjalnie to prototyp galarii „dręczycieli” tak częstych w twórczości Dostojewskiego.

Gdy w r. 1860 Dostojewski powrócił do Petersburga po 9-letnim pobycie w katorze na skutek odkrycia spisku pietraszewców — sytuacja w Rosji uległa zasadniczej zmianie. Kapitalizm poczynił znaczne postępy, stał się motorem komunikacji i wzmożonego handlu wewnętrznego, w powietrzu wisiła uwłaszczenie chłopów (luty 1861 r.). Ogromny przewrót w życiu rosyjskim spowodowany reformą i gwałtowny rozwój kapitalizmu zmienił układ sił społecznych w Rosji. W latach 1863 — 85, ludność miast powiększyła się półtora raza. Sytuacja mieszczaństwa rosyjskiego pogorszyła się niesłychanie. Bogactwo sfery kupiecko-financej. Majątki ziemskie przechodzą na własność bogatej burżu-

azji — Moskwa ze szlacheckiej staje się kupiecką — w rękach nowej arystokracji pieniądza znajduje się wkrótce większość pałaców miasta. Natomiast drobnomieszczaństwo i inteligencja doprowadzone przez ustrój kapitalistyczny do skrajnej nędzy dostrzegają śmiertelne niebezpieczeństwo grożące ze strony niedawnego sojusznika w walce z feudalizmem.

W roku 1862 Dostojewski wyjeżdża za granicę, gdzie spotyka się ze społeczeństwem kapitalistycznym w o wiele bardziej zaawansowanej fazie rozwoju. To, co ujrzał na zachodzie napędza go przerażeniem: Babilon — spełnianie się apokaliptycznych proroctw. We wspomnieniach z przemysłowej wystawy londyńskiej z r. 1863 („Zimowe uwagi o letnich wrażeniach”) zarysowało się przecucie istnienia jakiejś przerażającej „siły”, kierującej mechanizmem świata społecznego. W r. 1865 Dostojewski osobiście zetknął się z działaniem tej „złowrożej siły”. Długi zmuszają go do ucieczki z Rosji.

Jakież wyjście widzi Dostojewski dla Rosji zagrożonej „straszną siłą”?

Młodość utopijnego socjalisty nie nauczyła go wiary w siły proletariatu. Pietraszewcy byli pozbawieni szerszej bazy społecznej, wierzyli w wartość ofiary jednostki wyjątkowej za lud — „dla was bez was”. Rewolucyjność mieszczaństwa to była specyficzna forma awansu społecznego, arystokratyzmu w stosunku do dna społecznego, od którego chciano się odciąć mimo humanitaryzmu i współczucia. Rewolucja proletariacka, tak jak ją widział Dostojewski w szkicu do zamierzonego dzieła o Komunie Paryskiej groziła przerażonemu mieszczaństwu zniszczeniem kultury, panowaniem „nachodzącego chłama” (tak wyraził się o Gorkim Merezkowski jeden z niewątpliwych kontynuatorów linii Dostojewskiego). Ucieczkę i ratunek udrczone mieszczaństwo widzi w unicestwieniu wszystkich zdobyczy zwycięskiego kapitalizmu. Dostojewski „zachodowiec” i postępowiec staje się fanatycznym zwolennikiem rosyjskiej „poczwy”. Głosi nawrót do **patryarchalnej Rosji, ludowej, prawosławnej cerkwi**, wielbiące cara — **batiuszkę**.

Rozczarowanie do metod „lekarzy-socjalistów” każe przyjąć inną interpretację tragicznej roli jednostki — **zlo leży w duszy ludzkiej**, w jej **mrocznych głębiach**, w zagadce ludzkich zbrodni i bożych kar.

Słynne „proklatyje woprosy” („przeklęte problemy”) literatury rosyjskiej: istnienie Boga, zagadnienie winy i pokuty, zbrodni i skłonności natury ludzkiej — zastępują analizę konkretnych sytuacji społecznych.

Bohaterowie Dostojewskiego, to ludzie rozdarci wewnętrznie, opętani walką z niepojętą zagadką swej duszy; obrazują oni rozdarcie zagnanej w ślepej uliczce klasy, która zatraciła zmysł rzeczywistości i porażała się w mistycznej kontemplacji własnego leku. W „Zbrodni i karze” Swidrygajłow dręczy Raskolnikowa makabryczną wizją zaświata: „Wszystkim nam wieczność przedstawia się jako idea, której niepodobna zrozumieć — coś ogromnego, ogromnego! Ale czemu właśnie coś ogromnego? Aż naraz... zamiast tego wszystkiego wyobraźcie sobie, że tam będzie tylko jedna idzeczka — ot tak, w rodzaju wlejskiej łaźni, okopcona, a we wszystkich kątach będą pajaki — ot, i cała wieczność”.

Rewolucyjna przeszłość zostaje potępiona „Dziennik pisatelem” jest dokumentem pogardy dla burzliwej młodości. Swą znajomość atmosfery i techniki konspiracyjnej wykorzystuje Dostojewski do napisania „Biesów” mających na celu skompromitowanie ruchu rewolucyjnego.

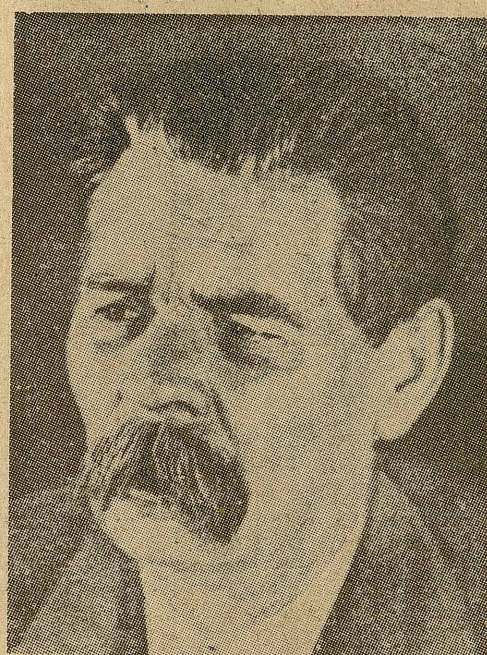
Ostatnie słowa, wypowiedziane przez Dostojewskiego-ideologa to zakończenie jego mowy na uroczystościach ku czci Puszkina w r. 1880. Rewolucyjnej inteligencji rosyjskiej zostawił, jako testament hasło prawomyślności religijnej i politycznej: „Ukórz się, hardy człowieku!”.

Oto droga ideologiczna **humanitarnego mieszczaństwa**.

w dwójnasób w stosunku do poprzednich 25 lat.

Proces ten wpłynął na drobnomieszczaństwo w kierunku jego zaostrej dyferencjacji społecznej. Nieliczni awansują do środowiska wielkiej burżuazji, masy deklaruja się w szeregi proletariatu.

Jak w innych kapitalistycznych krajach, tak i w przedrewolucyjnej Rosji lata przemysłowego rozwoju przeplatały się z latami ostrych kryzysów, zastojów przemysłowych. Kryzys w końcowych latach XIX w. również działał w tym samym kierunku dyferencjacji i rewolucjonizowania niższych warstw drobnomieszczaństwa. Następnym wspomnianego procesu ekonomicznego był



Maksim Gorkij

wzrost nastrojów protestu przeciwko panującemu układowi stosunków społeczno-ekonomicznych i dążności do znalezienia zew. wyjścia. Dążności te były platformą sprzymierzenia się pewnych kręgów tej warstwy społecznej z proletariatem. Na te tory kierowała je bezwzględnie logika ekonomicznego rozwoju kapitalizmu. Proces ten znalazł swoje odbicie w twórczości Maksyma Gorkiego.

W 1892 r. w Tyflisie w miejscowej prasie pojawia się pierwsze opowiadanie Gorkiego „Makar Czudra”. Autor pracował wówczas w Tyfliskich warsztatach kolejowych. Jeszcze na kilka lat przed tym wchodzi Gorkij w kontakty z rewolucjonistami — narodnikami. W początkach swej działalności narodowcy rekrutujący się przeważnie z rewolucyjnej młodzieży inteligentkiej wchodzi w lud z zamiarem przygotowania i podważenia go do walki z carskim absolutyzmem. Ale już w latach żywej działalności socjaldemokratycznej, po rozgromieniu partii „Narodnej Wolności” poczęli głośno hasła „nie sprzeciwiania się złu” i zaprzestali walki z caratem. W latach 80-tych i 90-tych narodnicy stali się wyrazicielami interesów kulactwa.

W 1901 roku podejrzany o współpracę z rewolucjonistami Gorkij zostaje aresztowany w Niżnim Nowogrodzie. Skłaniając się pierwotnie ku liberalnej frakcji ruchu „wyzwoleńczego”, Gorkij coraz bardziej rozczarowywał się do liberalnych „buntowników” i około 1905 roku wyraźnie zbliża się do rewolucyjnego proletariatu i jego awangardy — bolszewików. Swemu nowemu światopoglądowi dał trwały wyraz w szkicu pt. „Człowiek”, napisanym przed rewolucją — w 1904 roku. Twórczość Gorkiego z tego okresu wywołała liczne napady ze strony reakcjonistów wszelkich odmian. G. Czulkow zestawiając „Człowieka” z „Pieśnią o zwiastunie burzy” zakończył swoje rozstrząsania taką tyradą: „Niestety! — to już nie ten miłujący wolność człowiek, brat rodzony słońca i morza, lecz jakaś dziwna kukła w „marksistowskiej bluzie”. Inny krytyk Steczkin w „Gońcu rosyjskim” (1904 r. Nr 6) nazwał „Człowieka” — „rewolucyjnym wezwaniem, przestępczą proklamacją”, a Gorkiego — „głosicielem buntu, lumpem — proletariuszem proklamującym rewolucję”. Ta ocena daje najlepsze świadectwo rewolucyjnej ideologii Gorkiego w owym czasie, ideologii buntu przeciw kapitalistycznej rzeczywistości w imię jej przebudowy, na drodze klasowej walki proletariatu sprzymierzonego z własnością. W tym wyrażała się całkowicie solidarność pisarza z ideologią socjaldemokratycznej partii, kierowanej przez Lenina.

Dalsze rozwinięcie osiągnęły rewolucyjne poglądy pisarza w opowiadaniu „Towarzysz”, w sztuce „Wrogowie”, a przede wszystkim w powieści „Matka”. Jest ona bez wątpienia najbardziej reprezentatywnym ideologicznym utworem Gorkiego, który w tym czasie znajdował się już w szeregach socjaldemokracji i współpracował z Leninem. Paweł Własow, bolszewik, bohater tej powieści, w mowie sądowej występuje jako sędzia starego świata i jego porządku i jako zapowiadający nadejście nowego życia, w którym ludzie będą sobie braćmi. Jest to nowa redakcja zasadniczych założeń „Człowieka”.

Wraz z przyjęciem ideologii rewolucyjnej zwraca się Gorkij ostro przeciw dekadentyzmowi w literaturze, przeciw jej marazmowi i oderwaniu od życia. W twórczości

wielu pisarzy (Andrejew, Arcybaszew, Mir-tow, Sołogub) znalazł wyraz pęd do ucieczki w abstrakcję, odwrócenia się od rzeczywistości — w imię pozornie nierozwiązalnej tragedii kryzysu społeczno-ekonomicznego. Przystania staje się rozpatrywanie „wiecznych problemów życia ludzkiego”, śmierci, miłości itp. Świat występuje u nich jako coś niepojętego dla ludzkiej świadomości, koszmarnego w swej istocie. Człowiek jest zabłąkanym w nim okrucieństwem. Artystyczną metodą tej literatury była dążność do przedstawienia faktów i zjawisk wstecznego porządku społecznego jako objawów wiecznych niezmiennych praw życia ludzkiego i jednocześnie dyskredytowanie wszelkich idei przeciwstawiających się temu i zmierzających do przebudowy rzeczywistości. Ucieczka w beznadziejność była reakcją tych pisarzy na rzeczywistość, przerastającą ich zdolności poznawcze.

Walka z dekadentyzmem w literaturze jako formą ideologicznej reakcji społecznej, z obskurantyzmem zajęła nie mało miejsca w artykułach Gorkiego w latach 1908 — 1909: „Zniszczenie osobowości”, „O cynizmie” i inne. Lecz te i inne artykuły z tego okresu niechybnie byłyby bardziej skuteczne w walce z „upadocznictwem”, gdyby nie było w nich oddźwięków idealistycznej, antymarksistowskiej filozofii Bogdanowa.

W okresie reakcji Stołypina (1907—1912), kiedy przyszła moda na „krytykę” marksizmu, część partyjnej inteligencji, uważająca się za marksistów, w istocie zaś nigdy nie stojąca mocno na pozycji marksizmu, poczęła głosić „rewizjonizm”. W ich liczbie byli tacy pisarze jak Bogdanow, Bazarow, Lunaczarski. „My — mówili oni — w zasadzie jesteśmy marksistami, lecz chcielibyśmy „ulepszyć” marksizm, wyzwoić go od niektórych zasadniczych błędnych twierdzeń”. Część odeszłych od marksizmu inteligentów doszła do tego, że poczęła głosić konieczność stworzenia nowej religii (tzw. „bogoiskatieli” i „bogostroiteli”).

Zagubienie i zamęt w szeregach inteligencji rewolucyjnej udzieliły się i Gorkiemu. Gorkij waha się między Leninem a grupą „postępowców” Bogdanowa. Grzeszenie on wraz z Lunaczarskim i Bazarowem w „bogostroitelstwie”, czego wyrazem jest jego ówczesna powieść „Spowiedź”.

Upadek ruchu robotniczego w latach reakcji, szczególnie zaś w 1909 r. i rozkład organizacyjny w szeregach socjaldemokracji doprowadziły Gorkiego do przesadnej oceny niebezpieczeństwa grożącego ruchowi ze strony drobno-burżuazyjnych żywiołów, co po części uwidoczniło się i w szeregu artykułów Gorkiego i w utworach artystycznych, np. w „Miasteczku Okurowie”. Niedocenianie sił klasy robotniczej przywiodło Gorkiego później w 1917 — 1918 roku do nowego rozejścia się z partią i Leninem.

Około roku 1912 podległ Gorkij wpływowi Lenina, współpracując z bolszewicką „Zwiedzą” i redagując literacki odcinek bolszewickiego organu „Proswieszczenie”. Tak więc szybko staje Gorkij napowrót w szeregach rewolucyjnych. Po „bogostroitelstwie” „Spowiedzi” pisze „Lato” — powieść o wsi rosyjskiej rozbudzonej wypadkami 1905 roku, o wiejskich rewolucjonistach — sprzymierzeńcach proletariatu, którzy swoją solidarność zasadzają nie na idei: Bóg — naród, lecz na idei socjalnej, klasowej walki. Przeciwwstawiając się rozpowszechnionemu „predatelstwu” Gorkij odpowiadał zdrącom zdemaskowaniem ich („Życie niepotrzebne człowieka”, „Ostatni”) i wyniesieniem bohatera samo — ofiary, np. w znanym szkicu „Fiedor Diadin” mówi się o żołnierzu, który wypuścił na wolność rewolucjonistę, a sam poszedł za to na śmierć.

W „Bajkach rosyjskich” wystąpił Gorkij przeciw głoszonemu przez wrogów rewolucji elementom „niesprzeciwianiu się złu”, przeciw apologii cierpiętnictwa (10-ta bajka). Z głosicielami passywnizmu, z reakcyjną filozofią L. Tolstoja i Dostojewskiego prowadził walkę Gorkij na przestrzeni całego niemal życia twórczego: w publicystyce („Uwagi o mieszczaństwie” i inne) i w twórczości artystycznej. Oddając należną część artystomowi Tolstoja i Dostojewskiego polemizował z nimi Gorkij w powieści „Troje”, w sztuce „Na dzień”, w „Miasteczku Okurowie”, w „Żywocie Matwieja Korzeniakina”, w „Dzieciństwie”, w powieści „W ludziach” i w „Żywocie Klimy Samgina”. Ideologiczny spór z Dostojewskim prowadził Gorkij w „Żywocie niepotrzebnego człowieka” i w sztuce „Starzec”, w której specjalnie ostro wystąpił przeciw apologice cierpienia.

W czasie pierwszej wojny światowej staje Gorkij na czele antyimperialistycznego pisma „Letopis”. Podczas rewolucji październikowej znowu na krótki okres ulegnie wahaniom i rozterce. Po rewolucji staje się jednym z najczynniejszych organizatorów i budowniczych nowej socjalistycznej kultury.

Jasne widzenie ruchu rewolucyjnego, wiara w jego siły i słuszność celów, podsycające ognia rewolucji swą pracą twórczą są tymi elementami, dla których możnaby nazwać Gorkiego pierwszym faktycznym twórcą sowieckiej literatury socjalistycznej. Ale droga od liberalizmu i humanitaryzmu mieszczańskiego do rewolucyjnego socjalizmu i socjalistycznego humanizmu, którą przebył pisarz i ideolog nie była łatwa i równa. To, że Gorkij potrafił ją przebyć może być dowodem jego osobistego hartu jak i mocy tej ideologii, która go wyprowadziła z labiryntu dusznego świata mieszczańskiego.

Waldemar Kiwilszo

Od liberalizmu do socjalizmu

Najbardziej wziętym i najlepiej znanym wśród mas pisarzem rosyjskim ostatniej doby jest bezwzględnie Maksym Gorkij. Przyczyn tej wielkiej popularności pisarza należy szukać przede wszystkim w społecznym charakterze jego twórczości. Kształtowała się ona na tych samych drogach, na których rozwijały się w Rosji ogólne nastroje i dążenia mas niezadowolonych z panującego, wrogo im porządku. Z racji też ideologicznej wartości utworów Gorkiego — mówi się o nim powszechnie jako o pisarzu rewolucyjnym, pisarzu proletariackim.

Istnieje tendencja u niektórych krytyków do ukazywania twórczości Gorkiego w kształcie ideologicznego monolitu. W rzeczywistości sprawa jest bardziej skomplikowana. Na drodze do postawy pisarza rewolucjonisty Gorkij przeszedł okresy wahań i wątpliwości, które znajdowały w jego twórczości swoją ideologiczno-literacką transpozycję.

Twórczość literacka Gorkiego była wyrazem świadomości społeczno-kulturalnej niższych warstw drobnomieszczaństwa, (określanego jako całość terminem „raznochynicy”), które były socjalnym środowis-

kiem pisarza — w dobie zwycięskiego postępu kapitalizmu i jednoczesnego zarysowywania się już podstaw jego struktury. Ewolucja Gorkiego jako ideologa i pisarza może być traktowana w ogólnych ramach jako egzemplifikacja ewolucji tej warstwy społecznej w okresie wyłamywania się jej z zapóźnionych, skostniałych ram społecznych i wchodzenia w orbitę życia proletariatu.

Jak wiadomo lata 90-te w Rosji były czasem intensywnego rozwoju kapitalizmu. W okresie lat 1890 — 1899 kapitalizm przemysłowy zwyciężając drobne rzemiosło, tradycyjną technikę produkcji, zapóźnione społeczne stosunki posunął przemysł rosyjski w ciągu jednego 10-lecia daleko naprzód. O tempie tego rozwoju najlepiej mogą świadczyć dane statystyczne co do szybkiego wzrostu liczby zatrudnionych w przemyśle robotników. Jeżeli w ciągu 25 lat, od 1865 — 1890 r., ilość robotników zatrudnionych w większych tylko fabrykach i przedsiębiorstwach oraz na kolei wzrosła z 706 tys. do 1433 tys., to jest więcej niż dwukrotnie, to w końcu lat 90-tych liczba ta wzrosła do 2792 tys., czyli w tak krótkim okresie prawie

Jakub Litwin

W kręgu moralności „Ziemi Obiecanej”

Czytamy w „Sprawie Robotniczej” z lipca 1893 roku:

„Przed kilku laty jeszcze spokojnie tam (w Łodzi — przypisek mój) było jak w grobie. Robotnicy łódzcy ci najniebezpieczniejsi z nieszczęśliwych przybici nędzą, upadający w żarzmie 14—15 godzinnej pracy, w wyjątkowych tylko razach śmieli podnieść głowy.



Łódź, — Bielnik Kwapisza (1840)

Wybuchł wtedy strajk żywiłowy, albo też, kiedy przebiegała się miara ludzkiej cierpliwości, wzburzony robotnik szukał zemsty w napaści na bezpośrednie narzędzie wyzyskiwania — na majstra. Ale oto i do Łodzi dotarł ruch robotniczy i gromkie hasła socjaldemokracji zelektryzowały uśpionych. W 92 roku widzimy świetny rezultat tego rozbudzenia. Łódź wtedy nadaje ruchowi naszemu piętno nowe przez niebawem masowe wystąpienie robotników w dzień 1 maja... Od tego czasu ruch nie ustaje. Zandarmieria codziennie znajduje gdzieś proklamację, broszurę, wiersze socjalistyczne, tropi więc jak sfora gończych psów... Fabrykanci i pacholkiwie ich, majstrowie fabryczni pomagają — ile sił starczy. Wszystko nie pomaga. Robotnicy na ulicach śpiewają kolendę socjalistyczną i inne pieśni robotnicze.

To był zasadniczy nurt przeciwności. Jakby odgraniczona linia, po jednej stronie — garść rodzin fabrykanckich, powiązanych wzajemnie więzami interesów i krwi, po stronie przeciwnej — szeroka rzesza robotników.

Historia nawet podkreśliła ten wręcz symboliczny obraz sprzeczności. W czasie wielkiego buntu łódzkiego — masy wyległy i zapęliły ulice. Fabrykanci zebrałi się w Grand Hotelu. Robotnicy — spokojni, zrównoważeni — obradowali nad sytuacją; fabrykanci — zdenerwowani, wystraszeni — radzili w wytwornej sali, jak ocalić majątki i głowy.

Łódź była niewątpliwie, obok Warszawy, głównym siedliskiem ruchu robotniczego. Tu walka miała najostrzejszy charakter, i tu przejawiała się w swej najwyższej formie. Rok 1892 — to kontynuacja i zarazem świetna urzeczywistnienie czartystowskiego hasła strajku powszechnego. Rok 1905 — to pierwsze od czasów Komuny Paryskiej walki barykadowe w Europie.

Taki był obraz lewej strony barykady.

Naprzeciw stał sombortowski bourgeois — przypominający zarówno idealnego niemależ mieszczaństwa — Beniamina Franklina — z jego pracowitością, skrupulatnością, oszczędnością pieniądza i czasu — i zdobywcę Carnegie — z jego brakiem wszelkiej etyki, jakiegokolwiek poczucia ludzkiej solidarności — Don Kichota pieniądza i złota.

„W Łodzi pamiętają — pisze Stefan Górski w wydanej w 1904 r. „Łodzi społecznej” — że czas — to pieniądź, a oszczędność — najprostsza droga do bogactwa”. Ale „Łódź jest (równocześnie) stolicą oszustwa i nadużyć. W stosunkach handlowych, nieraz najbardziej wyszukany drogami jeden „podchodź” drugiego. — Sztucznicy naciągają towar, by zyskać większą długość, fałszują gatunki materiału, wyrabiają tandetę, obliczoną na efekt naiwnych nabywców... Konkurencyjne zabiegi współzawodników posuwają się nieraz do brudów najbrzydlawszych, poszkwałów, podstępów...”

Amerykańscy milionerzy nie jednego konkurenta zlikwidowali fizycznie, łódzki bourgeois — bezwiednie — przeniósł amerykański styl życia na polską ziemię. Niejednokrotnie podpalają własnoręcznie swe fabryki, by pożarem odbić straty przedsiębiorstwa, nieraz podpalają konkurentów — by samemu wyrósł na ich zgłiszczach.

Czy obraz Łodzi jest pojęty? Bez wątpienia w pokrzytych patyną tradycji miastach włoskich można dumać o wielkości i wzlotach człowieka, można malować poetyczne obrazy. Łódź nie zna poezji — pisze swą historię prozą. Prozą treści i formy pisana jest Reymontowska „Ziemia Obiecana”. W niej czerni rzeczywistości spotęgowana jest selekcja faktów i treści. Tu wszystkie ludzkie wartości ulegają niwelacji — niemiecki obraz niebardo odbiega od rzeczywistości.

Analizę i problem kapitalizmu stawia Reymont na płaszczyźnie moralnej — a moralność umieszcza poza czasem i rozwojem spo-

łecznym. Jakież jest więc kryterium moralności? Bez wątpienia — samowiedza swego człowieczeństwa. Pojęcia to niezbyt jasne, ale ściślej nie precyzuje ich Reymont.

Potępieniu ulegają wszyscy kapitaliści — właśnie dlatego, że tę samowiedzę utracili. A wraz z nią zaprzepaścili gdzieś istotny sens życia.

Że tamci giną — to nie ważne, są obcy, nie nasi — ale giną też i swoi. Borowiecki — szlachcic herbowy — przybywa do Łodzi i z trudem dorabia się majątku — buduje fabrykę — ale fabryka spala się, jak to często w Łodzi bywa, podpalona zapewne przez jednego z współników. Borowiecki nie podaje się jednak losowi. Żeni się ekonomicznie — i znów zostaje fabrykantem. Ale w przełomowej chwili pojmuję, że przegrał swoje życie. Na końcu długiej wędrówki czekała go nuda i bezsens.

Bo czyż kapitalizm może komuś przynieść szczęście i samozadowolenie. „Dla tej „Ziemi Obiecanej”, dla tego polipa pustoszący wieś, ginący lasy, wyciechała się ziemia ze swych skarbów, wysychały rzeki, rodzili się ludzie, a on wszystko ssał w siebie...”, przeżuwał ludzi i rzeczy.”

Łódź druzgocze szczęście ludzi. Wyrywa z tradycyjnego otoczenia, pozbawia uznanej pozycji społecznej i funkcji zawodowej. Wywraca na nice uznany zwyczajowo porządek rzeczy.

Dziesiątki pokoleń z trudem budowały gmach tradycji — pojęć ludu — schematu codziennych zajęć. W maszynie miasta ginie i tradycja i cały trud przeszłości.

Reymont stanął wobec dylematu: tradycyjna wieś czy nowoczesna fabryka przemysłowa. A w konsekwencji problem agrarizmu czy problem przemysłowienia.

A więc kapitalizm — z jego wszystkimi wewnętrznymi sprzecznościami...

Marks w liście o Indiach dowodzi, że kapitalizm choć nieubagany, choć bezlitosny i brutalny był jednak dla Indii pożyteczny. W każdym bądź razie wywłókł kraj z tej bezhistorycznej apatii, w jakiej on dotąd tkwił. A powtóre — wtoczył siłą elementy cywilizacji i wyższe formy organizacji pracy w

ciasną, rodzinną strukturę społeczną Indii. To było jego działanie rewolucyjne — i to były jego bezsprzeczne zasługi. Przykład Marksa jest obrazem rozumowania historycznego i dialektycznego. Bo nie zapomniał on nigdy o regresywnym wpływie kapitalizmu — ale w innym, późniejszym okresie historycznym — na gospodarkę Indii i niejednokrotnie go potępiał.

W Polskę kapitalizm wsiąkał powoli. Choć pierwsze jego objawy można dostrzec gdzieś w XV—XVI wieku, a później za czasów Augusta Poniatowskiego zjawiają się załazki manufaktury — był on jednak w okresie Rzeczypospolitej królewskiej nader embrionalny. Ten brak kapitalizmu i silnego mieszczaństwa był jedną z tragedii Polski.

Wiek XIX a w szczególności druga jego połowa stoją pod znakiem szybkiego gwałtownego rozwoju przemysłu. Przychodzi on dwiema drogami — od wewnątrz i z zewnątrz. Na tyle od wewnątrz, że rząd czyni usilne starania zaaklimatyzowania przemysłu na terenie Polski. W roku 1827 wysyła nawet Benedykta Tykela do Prus, Saksonii i Czech, w celu sprowadzenia zagranicznych przemysłowców. Rok 1827 jest pamiętną datą polskiego kapitalizmu. Jest to początek, iście amerykańskiego, rozwoju Łodzi — tego centrum przemysłowego Królestwa Polskiego.

Później ludzie napływać zaczynają masowo. Miasto rozrasta się, krystalizuje, nabiera charakteru typowo kapitalistycznego osiedla mnożonych w nieskończoność baraków.

Przybycze przywożą z sobą również swoją burżuazyjną moralność. Zasada jest ius prima occupantis i prawo silniejszego, — zasady wywodzące się zarówno z Hobbesa jak i Jana Jakuba Rousseau — ale których zwyczajowe formy można by znaleźć już wśród pierwotnych plemion kopieniackich i rolniczych. Jest ona na tyle niemoralna, że powo-

chałupników — tkaczy, a równocześnie sprządza maszyną, wzmacnia stopę produkcyjną swej fabryki. Ilość robotników zatrudnionych w jego zakładach pracy produkuje kilkakrotnie więcej towaru niż taka sama ilość tkaczy — chałupników. Wzrost dysproporcji między warunkami bytu klasy pracującej a zamożnością dyspozytorów kapitału — to jedno z zasadniczych przeciwieństw gospodarki kapitalistycznej. Jej moralność jak i amoralność są równocześnie bezwzględne. Ale dopiero rozpatrywane w oderwaniu od tła i okresu historycznego nabierają charakteru metafizycznego.

Czy była to moralność typu chrześcijańskiego, według zasad „kochaj bliźniego jak siebie samego” albo „kto w ciebie kamieniem ty w niego chlebem”? Miała tyle wspólnego z chrześcijaństwem, że nakazywała wierzyć weń innym. Mieszczaństwo łódzkie reprezentowało liberalizm w jego czystej postaci: bezwzględnej własności prywatnej i całkowitej swobody dysponowania swoją posiadłością. Nie było ani mniej, ani bardziej etyczne niż mieszczaństwo zachodnio — europejskie, a tym bardziej amerykańskie.

Szeroko jest rozpowszechniony pogląd, że jednak łódzki bourgeois — obcy narodowo, nie zaaklimatyzowany intruz jest bardziej brutalny i drapieżny. Ale czyż carlyle'owski opis społeczno — ekonomicznej sytuacji znacznie się różni w odcieniu barw od opisów położenia łódzkiej klasy robotniczej? A kto jest bardziej brutalny: Niemiec Geyer, organizujący lokaut, w obliczu szerczących się strajków, czy prof. Thiers, Francuz — rozstrzelujący bez pardonu francuskich robotników? Moralność klasowa jest — mimo nieznacznych różnic — międzynarodowa.

Niemniej moralność łódzkiej burżuazji trzeba by raczej odnieść do jakiejś wcześniejszej epoki kapitalizmu. Do tych zapewne lat, gdy Drake czy Raleigh na niewielkich



Łódź, Plac Wolności — widok z r. 1865.

duże pauperyzację warstw ubogich, na tyle zaś rewolucyjną, że rozkłada ustroje pierwotne i wzmacnia potencjał gospodarczy w dobie kapitalizmu.

Dla przykładu: Geyer rozwijając swoje przedsiębiorstwo powoduje ruinę drobnych

korwetach łupili cudzoziemskie porty — a w Holandii czy we Francji rozgrywały się tragedie afer tulipanowych czy spekulacji Law'a. Bo to była moralność kapitalistów rzuconych w nieskapitalizowane, nieuprzedmiotowione środowisko. Oszołomieni bezmiarem możliwości wierzą w dwie zasady: swoją energię i przedsiębiorczość. Wszystko co hamuje i ogranicza ludzką aktywność jest głupie i bezsensowne. Racjonalnymi są tylko te metody działania, które w konsekwencji przynoszą praktyczny efekt — pieniądź, towar, fabrykę. Honor, cześć, humanitarność — nabiorą sensowności, gdy będą praktyczne. A religia jest niczym więcej jak sankcją działania, które nie chce liczyć się z człowiekiem — ale jest usprawiedliwione wobec siły wyższej ponad ludzką, codzienną małosłowność, która wielką niemoralność umie usprawiedliwić. Przypuszczam też, że nie jeden z nich zapisałby sobie w sztambuchu słowa Kuźmy Medyceusza: „Chciałbym mieć za dłużnika Boga — Ojca, Boga — Syna i Ducha Świętego, aby ich wciągnąć do mojej rachunkowej księgi”.

Ci łódzcy bourgeois dokonali rzeczy z prawdą wielkich i kapitalnych. Zbudowali jeden z najpotężniejszych ośrodków włókienniczych w Europie. Podnieśli znacznie potencjał gospodarczy Królestwa Polskiego. Zaszczepili na gruncie polskiej gospodarki wielki przemysł.

Cóż im przeciwstawia Reymont? W usta Borowieckiego można by włożyć słowa Karola Dunover, który w książce „O wolności pracy” dowodzi, iż „dobrze się dzieje, że istnieją w społeczeństwie otchłanie, w które mogą wpaść rodziny złe się prowadzące i skąd wydobyc się będą mogły jedynie wtedy, gdy zaczną prowadzić się dobrze”.

Łódź tańczy czartowskiego kontredansa. Kto się do tańca dołączy — straci duszę i siebie. Dokąd więc pójść? W Łodzi ziemia jest gorąca, powietrze — parne, ludzie biegają jak opętani, skażeni egoizmem i sobokostwem. Miasto, przemysł, kapitalizm demoralizują człowieka.

Wróćcie więc na wieś — na swoją rodzinną ziemię — jaką by ona nie była. To nie ważne, że zagroda biedoty chłopskiej nie przekracza 2 — 3 mórg. Te drobne parcele i spekulację ziemią utrzymują pasożytnicze

Zdzisław Łaszczyński

„PIAST” I NAGRODA NOBLA

W związku z artykułem o „Ziemi Obiecanej” warto przypomnieć kilka faktów.

W pierwszym rządzie odnosi się to do okoliczności, w jakich przyznano Reymontowi nagrodę Nobla. Kandydaturę Reymonta do nagrody wysunęła po raz pierwszy Akademia Umiejętności w Krakowie w r. 1918, wybór jury padł wtedy jednak na Pontopidana. Dopiero w sześć lat później ponowiona trafiła na życiowe przyjęcie. Kontrkandydatami Reymonta na terenie międzynarodowym byli Tomasz Mann, Tomasz Hardy oraz Maksym Gorkij. Zadecydowały względy polityczne, „moda na Polskę” w ówczesnej konstelacji politycznej.

Nawiasem mówiąc, polityka nagród tej międzynarodowej instytucji zasługiwałaby na obszerną i gruntowną analizę. Można by sporo światła rzucić na dzieje kultury europejskiej już przez samo zestawienie i opis takich elementów, jak: aktualna sytuacja polityczna, przynależność i orientacja społeczna i polityczna jurorów i nagrodzonego, a wreszcie także treści i formy utworów nagrodzonych.

Reymont nagrodzony został za „Chłopów”, w których wydobł i wystylizował wszystkie archaiczne w jego mniemaniu i zanikłe gdzie indziej pod niwelującym odrębności wpływem miasta — cechy kultury wiejskiej i regionalnej. Chłop łpecki pokazany został jako „człowiek wieczny”, związany nierozdzielnie mi ęzami z ziemią i wpłciony w procesy i rytmy cyklicznych przemian natury. Intencją autora było obnażyć krępkie i zdrowe, w przeciwieństwie do zgnilizny toczącej miejską część narodu i ludzkości — korzenie człowieka bytu.

W tym tkwiła koniunkturalna przewaga Reymonta nad Żeromskim, jako kontrkandy-

datem kół postępowych w Polsce. Koniunkturalna, ponieważ „Piaśt” był ówczesnie w Polsce u władzy. Związki polityczne i światopoglądowe Reymonta z tym obozem politycznym miały znaczenie rozstrzygające i oddziaływały także na zagraniczną politykę kulturalną. Manifestacją zaś tych związków i osiągniętego wspólnie jakby sukcesu był odbyty w sierpniu 1925 r. ludowy zjazd „Piaśta” w Wierchosławicach pod hasłem „hołdu dla pisarza, który roztawił chłop polskiego po świecie”. Nie dodano tylko, że z jego specyficznej recepty kulturową na odrodzenie ludzkości. Uznanie zagranicy. Zachodu zmęczonego przerosłami kapitalizmu i szukającego wyjścia z kryzysu ścieżkami powrotnymi, dla utworu regresywnego, przyjęto w Polsce cierpiącej chronicznie na brak uprzedmiotowienia i urbanizacji za dobrą monetę, za aprobatę „piaśtowskich” propozycji politycznych trwania w izolacji i pierwotności.

Nie zorientowano się nawet komu to mogło iść na rękę. Pięknie to było i sielankowo jeszcze w r. 1929, kiedy „Chłopi” pasowali jak ulał do filozofii kultury Spenglera. Z satysfakcją cytował T. Zieliński najnowszą książkę tego autora „Der Untergang des Abendlandes” w swym szkicu „Wrośniętostwo w literaturze polskiej” (Odb. z „Wiedzy i Życia” Nr. 7 r. 1929) oraz jego formułę „chłopa — człowieka wiecznego, niezależnego od wszelkiej kultury, która gnieździ się w miastach”. Pilnie słuchali tego hitlerowcy, gdy profesor wykladał im tę rzecz na zaproszenie w Mo-nachium bodajże, wyciągając praktyczny dla siebie wniosek że „Chłopi” są kluczem do psychiki chłop polskiego, kluczem pozwalającym nami... ośwladnąć

dwory. Ze w toku procesu parcelacji wyra- sta nowa kulaćka własności i kulaćka coraz łap- czywiej zagarnia biedacką ziemię, a biedako- wi jest coraz trudniej ochronić swoją włas- ność. Pierwszy coraz dumniej patrzy w świat i Boga — który jest przecież opiekunem ty- ko silnych — drugi czuje coraz bezlitośniej- szy nacisk kapitalizmu.

Kapitalizm torował sobie drogę w historii nie miłością — a twardą pięścią. I w mieście i na wsi. Tylko, że w tej ostatniej proces na- rastania dysproporcji ekonomicznych był po- wolniejszy, bardziej ukryty, zamknięty w ciasniejszych granicach — stąd mniej do- strzegalny.

Ale osiadajcie na wsi, bo tam jest spokój, cisza — i człowiek nie gubi duszy. Bóg jest na wysokościach — a ziemia rodzi ziarno. Czegoż wam jeszcze trzeba? Że owa na wpół przeorana przez kapitalizm wieś jest tragedią narodową — kogóż to obchodzi.

Kapitalizm jednak żyje i rozwija się. Czy kto chce czy nie chce — on istnieć będzie jeszcze długo. Ale kapitalizm jest przecież zły, niemoralny — wręcz nieludzki.

Bądźcie więc humanitarni. Rozwijajcie fi- lantropię.

To jest definitywna odpowiedź na rzeczy- wisty wyzysk klasy robotniczej. Konkluzja nie więcej moralna — niż moralność kapita- listy, bo niezdolna do przezwyciężenia kapita- lizmu. A co gorsza ludzka iluzja i zaciem- niająca istotne sprzeczności ustroju.

Etyczną nie jest ucieczka od kapitalizmu — ale budowa na jego gruzach ustroju, w którym podział społeczny pracy nie będzie kolidował z ludzką moralnością.

Reymont pozostaje w zaułku bez wyjścia. Kapitalizm jednak rodzi swego następcę i mściciela.

„W poniedziałek spadł deszcz — piszą robot- nicy Scheiblerowskiej fabryki 23 sierpnia 1911 roku — i zaraz cała fabryka została zala- na wodą po kostki, tak pracowaliśmy prze- moknięci przez pół godziny. O godzinie 4-ej przerwano pracę, bo dłużej niepodobna było stać w wodzie. Ciekawa rzecz, kto nam za- płaci za stracony czas i możliwe przeziębie- nie. Tak to administracja dba o zdrowie ro- botnika.

Pora nam pomyśleć o polepszeniu warun- ków bytu. A można to skutecznie tylko za pomocą zorganizowania się w silny, czysto klasowy Związek Zawodowy.”

W codziennej walce i trudzie rodzi się świa- domość klasowa robotników. Tu wytwarza się — tak słusznie i trafnie nazwany przez Czarnowskiego — kolektywizm — jako prze- ciwienstwo burżuazyjnego indywidualizmu.

Każdy strajk — to próba klasowej solidarności i zwartości. Każda akcja polityczna — to szarmonizowane współgranie obszernej grup ludzkich. Tu, w walce nielegalnej o prawo do życia — człowiek uczy się bez zlu- dzeń traktować człowieka — wierzyć i nie- dowierzać towarzyszowi. Człowiek przestaje być idealistyczną mistyfikacją.

Tym ludziom, złączonym najmocniej wspól- nością społecznego losu i mechanizmem wiel- ko-przemysłowym produkcji, życie udziela wielkiej lekcji uspołecznienia. Zmusza do zlikwidowania mechanizmu społecznego, któ- ry czyni człowieka poniżonym, godnym po- gardy, termitem pracującym bez świadomości sensu swego trudu.

„...przekonałem się, że wśród robotników fabrycznych niema przesądów kastowości ce- chowej, niema „panów czeladników”, nie ma chłopów, których „uczy się” bić, ani „ku- frów”, którzy w ogóle nie są ludźmi, dalej, że robotnicy fabryczni nawet wykwalifikowani, nie mówiąc o niewykwalifikowanych, wolni są zupełnie od marzeń o zostaniu samodziel- nymi przedsiębiorcami, marzeń, których na- wet towarzysze — rzemieślnicy nie wyzbyli się całkowicie do dziś dnia. W fabryce istnie- li tylko robotnicy więcej lub mniej wykwalifi- kowani i lepiej lub gorzej zarabiający, ale zawsze będący w swoim przekonaniu tylko żywym dodatkiem do maszyny — kapitałów, bez której tracili swoje kwalifikacje i dlate- go nie mogli mieć podstaw do marzeń o „sa- modzielności”. (Olbrymy, wspomnienia sta- rego robotnika z lat 1893 — 18, Z pola walki, nr. 4, str. 10).

To jest fundament moralności jutra.

Nie izolowana całkowicie parcela i nie fi- lantropijny humanitaryzm, ale społeczne, zbiorowe współdziałanie i racjonalny społecz- ny podział pracy, oraz konsekwentna, klasowa walka — mogą przełamać cienkie okucie ka- pitalizmu.

Nie powrót na wieś w ciasne opłotki zagro- dy — ale wyciągnięcie chłopów na szeroką are- nę społeczno-narodową — jest fundamenta- lną zasadą likwidacji zacofania wsi i najpew- niejszą bronią przeciw kapitalizmowi.

Nie wieś — jaką by ona nie była — ale wieś uprzemysłowiona, wieś zasobna w ma- szyny rolnicze i traktory — będzie podstawą nowej moralności.

Moralności, która zrodziła się w długo- trwałej walce klasy robotniczej i biedoty chłopskiej. Moralności społecznej i ludzkiej.

Jakub Litwin

SPROSTOWANIE

W Nr. 3, w artykule Jerzego Starnawskie- go „Sumiennosc etnograficzna” opuszczono z powodu braku miejsca źródłowe ustępy o wierzeniach ludu i kulturze społecznej wsi. Nadto wkraśli się do tekstu omyłki: „Rozpalono ognisko z drzewa osikowego pod krzyżem na rozstajnych drogach”, oraz w innym zdaniu „resumując” (zamiast re- asumując).

Jan Aleksander Król

PISARZE WOBEC FILMU

1. O NOWE „DOSWIADCZENIE SPOŁECZNE”

Pytano nas ustnie, pytano w listach, co są- dzimy o „Jasnych Łanach”? Czytaliśmy w różnych pismach dowcipy i żłośliwości. Atmosfera skandalu? Ale w której strefie? Filmu czy literatury? Reżyser, operator, i ka- mera filmowa są czynnikami wcale nie auto- nomicznymi. Rozstrzyga koncepcja i scena- riusz. Rozstrzyga pisarz! Z okazji „Jasnych Łanów” a bardziej jeszcze ze względu na przyszłe filmy o wsi chcemy pomówić z pisa- rzami. Ostatnio wysunięto technologię filmo- wą, jako warunek dla pisarza — scenarzysty sine qua non. Tą wcale pożyteczną wiedzą nie próbujemy jednak przesłonić wiedzy rozleglej- szej i wcześniejszej, z jakiej pisarz musi zdać egzamin. Co naprawdę kształci literata? Li- teratura i doświadczenie społeczne. Co kształ-

treść narodowa. W skali wartości narodowych getta i rogatki kulturalne ulegają i ulegać bę- dą przesunięciom. Na rogatkach znajdują się między innymi ci, dla których literatura ludo- wa będzie literatura dla ludu, bez niego jako głównego bohatera. Z tego trzeba sobie zdać sprawę.

2. SALONOWY FILM POLITYCZNY

Wróćmy do „Jasnych Łanów”, to jest do filmu pozornie przyjmującego za bohatera wieś i chłopów. W wielu listach pytano nas tak: jak elektryfikacja to po co polityka? My byśmy spytali inaczej: jak elektryfikacja to z jakich powodów? I dali odpowiedź: z poli- tycznych właśnie! Oświecenie wsi polskiej to jeden z rezultatów rewolucji. Taki jest chyba morał filmu. Oglądamy w nim ostatecznie po- lityczne dzieje Polski ostatnich lat na wiej- skim zapłociu. Ostatecznie: bo te sprężyny

dwa. Albo rząd gwałtem wsie elektryfikuje, albo jest to od wewnątrz wsi powstałe i re- alizowane przez nią zadanie. Jak dotąd po- wszechnym jest drugi proces. Ale gdyby na- wet rząd „przez siłę”, to i wówczas stałby przed autorem problem, jak się wieś zróż- nicuje społecznie w jakich grupach będą większe opory i jakiego rodzaju? Krótko mó- wiąc, w procesie elektryfikacji ujawnić się muszą stosunki społeczne wsi. Tak u autora powieści, jak u autora scenariusza.

W Jasnych Łanach siła elektryczna to tyl- ko — żarówka. Ale nawet ograniczona do żarówki nie przestaje być faktem społecz- nym. Jaka jest struktura tego faktu i współ- zależność od innych — oto pytanie centralne widza. Jeśli wsi potrzebne jest tylko światło, to z jakich przyczyn? Jej położenie (odle- głość od miasta, kolei, szos), jej stan za- możności, stopień technizacji, stopień i ilość organizacji gospodarczych, instytucji społe- cznych i oświatowych? Czy elektryka ma być kwiatkiem do kożucha? Wyprzedzać produk- cyjny postęp gospodarczy i kulturalny, czy sensownie wkrazać w odpowiednie stadium rozwoju społeczno-ekonomicznego wsi? Jeśli kwiatkiem do kożucha — to nowy problem: jaka część wsi chce się nim przyozdobić? I co przyozdobić? Jaka jest jej siła i na czym polega w stosunku do innych grup. W jakim zasięgu przeprowadzić zamierza (dla kogo?) elektryfikację. Drodzy pisarze, tych rzeczy nie wolno tykać bez wiedzy społecznej, bez znajomości konkretnych sy- tuacji.

W dyskusji o „wsi doskonałej” Kapuściń- ski opisał rzeczywistą, rodzinną wieś, gdzie postęp kapitalistycznego rozwoju osiągnął już i Kółko rolnicze i spółkę maszyn i mleczar- nię i kasę pożyczkową. Wieś przemieniła się przed pierwszą wojną nieomal w osadę, z ryneczkiem, przy którym skupiły się mu- rowane kamieniczki najbogatszych chłopów i właśnie wtedy podjęto akcję oświecenia, jak pisze Kapuściński — „centrum wsi”.

4. ELEKTRYFIKACJA — KWIATEK DO KOŻUCHA

Nadstał nam Piotr Wyrobek list od swo- ich krewnych z Osiełka pod Makowem Pod- halańskim. Elektryfikuje się Osielec. Piszą do niego krewni: „Kochany Wujchu! Pozdra- wiamy Was jak najserdeczniej i zapytujemy się, czyście zdrowi wszyscy — bo my dzięki Bogu dosyć się trzymamy. Święta my prze- żyli spokojnie i szczęśliwie. Mielśmy jesień długą, ale nieżyłą, bo było mokro i robót nie udało się pokonać. Mielśmy też dużo roboty z tą elektryfikacją, bo trzeba było słupy zwozić z lasu i zakopywać. Transfor- mator stawialiśmy na Morawowej, rozbie- raliśmy starą szkołę i z tej cegły murowali budkę na 8 metrów wysoką a na 4 metry szeroką. Stamtąd idą cztery linie: jedna na górny Osielec do Grzybka i do Hodawy, druga na zagrody do Ujcza i do Błażka, trzecia u nas, poza wodę, przez działki ku „szewcowi” — do Książka i do Kota — do Horwata — koło samych domów — do Bal- carza i do Koprzka — czwarta idzie koło gościńca aż do Rusina i na Koniówkę.

Teraz zakładają przewody do kościoła, bę- dzie cały kościół oświetlony. Będzie to ko- sztowało bardzo drogo, ale się jakoś zrobi — będzie oświetlony kościół, a po wsi, kiedy będzie kogo stać na to.

Już my przewody poprzecagali, to już to światło kiedyś będzie. Ja mam blisko domu, linia przechodzi przez ogródek. Jesienią ko- ło kościoła ksiądz sprzedal na te kosza, a na resztę (no, ho, ile to będzie) złoży się parafia. Miał być elektryka na święta go- towa, ale jeszcze nie wszystko gotowe do puszczania światła w ruch. Teraz Kochany Wujciu wmszujemy Wam szczęśliwego i po- myślnego Nowego Roku, daj Wam Boże!”

Czy ten list z Osiełka nie jest świetnym konspektem do scenariusza? Macie przykład elektryfikacji, jako kwiatka do kożucha. Oświecił się kościół, a we wsi „kiedy będzie kogo stać”. To znaczy — teraz nie stać. Jaka siła społeczna działa? Parafia. Wysiłek i ko- szty wieś poniesie. Motorem nie jest tu ani społeczne dobro świeckie wsi, ani korzyści indywidualne. Sugestia plebanii, snobizm wobec bogaczy, którzy księdza pod baldachi- mem prowadzą i którzy będą agitaować za elektryfikacją... kościoła. Ta akcja parafial- na dla idei, obciąża wszystkich w kosztach podstawowych (transformator i cztery linie sieć). Dotąd wysiłek społeczny. Dalej — biedniakom, nie pobudzonym innymi bodź- cami zbraknie pieniędzy i celu, aby „lektry- kę” złożyć. Ale bogaci chłopci do „idei” (przez wieś oblaconej) lekko dołożą należność za domową instalację. Sprawa nie skończona. Osielec leży między Suchą a Zakopanem. Ma szanse letniskowe. Jest Skawa, jest go- ścińiec i kolej. Światło u bogatych to nowy etap zdystansowania ekonomicznego bied- nych. W ich lepszych domach ze światłem zamieszka kuracjusz. Czy na tym tle nie dojdzie do zaburzeń wewnętrznych, do mo- bilizacji biedoty? Do jej wyemancypowania się z kregu parafialnego? Przyjrzyjcie się owym czterem liniom sieci, kogo mijają? Kto są te Grzybki, Błażki, Koprzaki, ów szewc? Ten list uczy, psiaćkrew, lepiej od katedry literatury, jak trzeba widzieć pro- blem powieści czy filmu. Uczy, że właśnie — społecznie. Po tych liniach wędrując ka- merą filmową pokażcie, te zagrody, klasy chłopskie, te losy ludzkie odmienne przez różnice społeczno-gospodarcze. Pokażcie, jak



„Jasne Łany”

Fot. Film Polski

ci scenarzystę? Filmy i doświadczenie społe- czne. Poeta w roli czytelnika, scenarzystą w roli widza kinowego oto ich technologia.

Film realistyczny stanowi dla pisarza pró- bę, sprawdzającą go przede wszystkim jako prozaika. Odsłania stopień doświadczenia spo- łecznego pisarza. To, co nas tak zawsze ude- rzalo u wielkich prozaików: Balzaka, Dosto- jewskiego czy Prousta. Jakby przemawiała „sama”, zagęszczona rzeczywistość społeczna.

Filmy o wsi szczególnie zastrzają tę próbę. Scenarzysta podejmuje się odbyć wyprawę analogiczną do Reymonta, Orkana, Kowal- skiego, Pogana, Gałaja. Trzeba znać materiał i trzeba go skonstruować. Ale materiał, ale w nim!

Jest w Polsce sytuacja dość osobliwa. Roz- budowujemy przemysł, aby upowszechnić no- woczesną technikę produkcji. Zmieniamy przez to stosunki społeczne produkcji. Mówiąc językiem przeszłości rozszerzamy „klasę ro- botniczą”, zmniejszamy ludnościowo dawną „warstwę chłopską”. Oczekujemy w wyniku zapanowania „świata pracy” (chłopsko - ro- botniczego), który zmieni tradycyjną pozycję socjalną inteligencji i mieszczaństwa i nada im nową funkcję społeczno - kulturalną. Gdzież zatem w najbliższych latach będą za- chodziły najbardziej dynamiczne i najbar- dziej ważne procesy społeczne, jak nie w kla- sie robotniczej i nie na wsi?

To sprawa nie tylko tematu dla pisarzy. To sprawa rzeczywistości nowej i rzeczywiste- głównej problematyki społecznej. Nie można jej zostawiać jako resztki tylko pisarzom chłopskim z pochodzenia. Życiorysowe do- świadczenie ma wagę. Ale najważniejsze jest doświadczenie społeczne. Dla Prusa mieszcza- nina, wieś stała się ważnym problemem, jako rezerwuwar jednostkowych talentów, potrze- bnych do wzniesienia industrialnej kopuły pol- skiego kapitalizmu. Dla drobno-mieszczanina Reymonta w okresie rozczarowań do kapita- lizmu, rujnującego już drobną własność (skle- pik i przedsiębiorstwo) wieś „piastowska” bliska „naturze” służy złudnemu krzepieniu serc, że niby tak rozległa „półkolonia” to chy- ba nie kolonia.

Dzieje robotników i chłopów są dzisiaj dzie- jami panujących klas. Koniński pisał przed wojną, że chłopów nie interesują powieści z ich życia. Ale będą! Nie interesowały, kiedy „lepsze życie” było przywilejem innych klas, a ich własne bez perspektywy, bez szans na powszechny awans społeczny. Nie interesowa- ły, bo ich życie zatrzymane i ustalone było znane. Ale przestaje już być znane, kiedy staje się dynamiczne, pełne gwałtownych, róż- norodnych a pozytywnych zmian. To nowe życie traci charakter gettowy, tworzy nową

wyjaśniają stosunki społeczne w Jasnych Ła- nach, nową szkołę, spółdzielnię, elektryfika- cję a nawet romans. Takie można i słuszne odczytać założenie filmu. Ba, ale realizacja. Wrogowie nowego porządku są polityczni. Od prowodyrów z WIN-u, czy NSZ-tu do klasowo z nimi związanych kulaćków. Druga strona jest czystą kartą. Wyszła z bezdziałów politycz- nych. Nie ma przeszłości ani przedwojennej, ani konspiracyjno-partyzanckiej ani partyjnej po wojnie. Dobrzy ludzie. Dobroć wie jak działać historycznie. Tę filozofię podsunął pewnie proboszcz, który przez skromność nie chciał się w filmie pokazać, ale swoją mszę i tak odprawił.

To jest pierwszy, podstawowy błąd koncep- cji filmu. Partie nabrały w nowej Polsce zna- czenia instytucjonalnego. Stanowią podstawę ustroju. I we wszystkich Jasnych Łanach byli partyjni, i w gminie byli i wciąż ze świata „emisariusze” polityczni do nich przychodzą. To jest typowa struktura polityczna nowej wsi. „Jasne Łany” ukazują, niestety, symbo- liczne dzieje wsi w Polsce powojennej. To znaczy, każą 50 tysięcy wsi zastąpić obrazem jednej. Nie będzie tu dlatego ani specyficz- nych, konkretnych uwarunkowań ani odpo- wiednio konkretnych osiągnięć. A tylko jakaś pseudo - przeciętna, jak było (w ogóle?) i pseudo-przeciętna, jak w ogóle będzie. To jest drugi błąd anty-realistycznej koncepcji filmu. Ale dlatego w symbolicznych Jasnych Łanach winna być choć „symbolicznie” upoli- tyczniona i strona postępu.

Tymczasem trzech zakonspirowanych reak- cjonistów z rewolwerami terroryzuje trzech szlachetnych ludzi. Tak powstał salonowy film polityczny. A gdzie bohater? Ta właśnie społeczna reszta wiejska poza salonową zśót- ką? Jak się w niej przedłuża i rozgrywa poli- tyczność jednej i drugiej orientacji, w sytua- cjach filmowych jak aresztowania, pogrzeby zabitych, kontyngenty, kazania kościelne, wie- ce, rady gminne. Wymieniam sytuacje typu „czysto” politycznego. Nie mam ich!

Gdyby politycznie film nie został przewró- cony dokonałby i artystycznego odkrycia: ruchu masy społecznej i przestrzennej.

3. WARUNKI SPOŁECZNO-GOSPODARCZE

Kto chce zelektryfikować Jasne Łany? Nowy nauczyciel. Kto przyjmuje projekt? Bez dwóch reakcjonistów cała wieś. Z jakich powodów? „Jak wy kumie to i ja”. Co ma dać elektryfikacja? W filmie — oświecił wese- le w pałacu i drogę wiejską. Jak wyglądał proces budowy sieci? Wcale „nie wygląda”, nie jest problemem. odbywa się za plecami chłopów i poza zasięgiem naszego wzroku. Za pozwoleniem, rozwiązania mogłyby być

partia (a musiał być jej załączek) biedniaków oponowała przeciw idei elektryfikacji Osielca. Jak zgadzała się wreszcie na kościół, pod warunkiem, że bogaci dadzą taki wkład, który opłaci biednym instalację w zagrodzie. Powiedzmy, że przegrali. Powiedzmy, że światło jest w kościele i u bogaczy, że w sezonie letnim i zimowym wycieczkowiec siedzą u gazdów. Pokażcie nową próbę biedniaków (Koła partyjne, ZSCh, PRW, Wici). A jest szansa. Składają zbiorowe oferty instytucjom, miejskim organizacjom robotniczym, harcerstwu, Związkom Akademickim itd. Mogą przyjąć 200—300 osób na sezon. Warunki wsi zorganizowanej więcej niż przystępne. Warunek dodatkowy: kursy do kształcące. Bodziec jeden — goście w sezonie w każdej chałupie, bodziec drugi — intensywna akcja kursowa — a elektryczność wejdzie w dom i zagrodę biedniackiej wsi — jako realna i konieczna wartość ekonomiczna i kulturalna.

5. SZOPKA SPOŁECZNA CZY STOSUNKI SPOŁECZNE

„Jasne Łany” nie odstawiają żadnych sił społecznych wsi, któreby uzasadniały polityczną interpretację filmu. A już najmniej służy do tego elektryfikacja. Z salonu politycznego przechodzimy z kolei do **szopki społecznej**. Po stronie „reakcji” stoi dawny rządcą dworski (pseudonim „Elegant”), młynarz i sklepikarz. Po stronie „postępu” — nauczyciel, stary chłop Gruda i kierownik sklepu-spółdzielni. Eleganta dosięgnie pojęcia, młynarza za bimbleria prokuratora, sklepikarza zmiarkuje jak w trawie piszczy i ugnie się. Marksizm potrzebny był widać autorowi po to chyba, aby przekonać widza, że to szopka — prośbę panów — z klasowymi stosunkami. Trzask, prask — i już wygląda się powierzchnia społecznego życia wsi polskiej.

Kto zrozumie wewnętrzny podział wsi na klasy na przykładzie młynarza i sklepikarza bez ich klasy w zapleczu, bez zestawienia z innymi? Czy przyszło do głowy autorowi pokazać zwłokę zboża do młyna, dzienny przemiał 500 metrów zboża. Procent zarobku ukazany w workach maki, na miesiąc, na rok. Co za potworne zestawienie z dorobkiem rocznym biedniaka i średniaka. Czy przyszło mu do głowy pokazać domy, obejścia, narzędzia i bydlę bogaczy, wystopniować średniakami i porównać z biedotą aż do krańcowych wypadków? Czy zagrał polami? Parcele jednych i drugich? W przetrzeźni, w obróbie, w płonach. Mapa prof. Stysia wsi Husowa ma krzyżującą wymowę filmową. Na dawny podział na łany nałożony został z kilku okresów postępujący rozpad i podział gruntów. Skrawki — skrawki, ale są jeszcze i XVI-towieczne łany. Oto społeczny obraz wsi. A w życiu parafii nie ma okazji do plastycznego ukazania całej drabiny hierarchii społecznej wsi? A ta nie-szczesna żarówka nie zobowiązywała do przeglądu chociażby domów wieczorem. Czym oświetlone i jak długo? Dowiedzieć pragnęlibyśmy się u kogo palenisko świeci, u kogo stajenna lampka, gdzie naftówka, gdzie z kłosem? Ile jest jednych, ile drugich? Jak nikną i w jakiej kolejności te światła? To też jest przegląd społecznych stosunków. Filmowy, fotogeniczny! I nie dlatego, że bawi jak antykwarna światła, ale że daje historię oświetlonych różnie różnych losów społecznych ludzi wsi!

6. SIŁA PRĄDU TO SIŁA GOSPODARZA

Dla samych chłopów problem elektryfikacji stoi o wiele poważniej: żarówka, tak, ale i siła produkcyjna. Na tych rogatkach kulturalnych rozwijała się przed wojną ideologia agrarysty, mit technicyzmu, prześcigający osiągnięty dotąd stan przemysłowej produkcji. Elektryczność rozparceluje wielkie skupienia fabryczne. Linie wysokiego napięcia i transformatory pozwolą zakładać w dowolnym miejscu dowolne przedsiębiorstwa. Z tej utopii zostały dzisiaj dwuznaczne realia. Motorki Diesla, masowo skupywane i szabrowane przez bogatych chłopów, z nimi czekają oni na elektrykę. A są jeszcze młyny, tartaki, mleczarnie, gipsiarnie, wapienniki, cegielnie, betoniarńki itd — na wpół zrujnowane, nie opłacalne bez wyższej i tańszej siły napędowej. Wstawcie w taką okolicę transformator, a będzie się to równało wsadzeniu kija w mrowisko. Ja operuję faktami. Biedziecie mieli takie widowisko jak gwałtownie powstała spółka, która tysiącami sposobami próbować będzie wykupić od biednej wdowy z dwiema córkami całą parcelę (3 morgi), bo na niej jest skała gipsowa. Coraz lepsze warunki — spółka zapewnia rentalnie dożywotnie utrzymanie wdowie. Wdowa sprzedaje. Wraca druga córka z zachodu. Ta przeszła oświecenie. Protestuje. Sprawa odsłania swoją społeczną podszewkę. W obronie córki staje biedota z ZSCh. Będzie gipsiarnia, ale nie pięciu kufaków. Trzy motorki kufaków dyktują prawie cały gminie omłot i przemiał. ZSCh nabywa czwartą, obniża cenę, doprowadza do bojkotu kufackich motorków. To są pierwsze z brzegu fakty. Ale w „Jasnych Łanach” jest ciemno od niewiedzy. Elektryczność nie gra tu gospodarczo. I znów film maruje okazję do ukazania konfliktów społecznych wewnątrz wsi i gminy. Do ukazania jej klas, jej własnych bohaterów, reprezentantów tych walczących sił. Całej skomplikowanej dialektyki zmieniających się powiązań i sojuszy i różnych sensów chwilowych porzuceń. A na tej, na pozór pogmatwanej, drodze wykuwa się ciężko i uparcie społeczny postęp wsi.

7. SPÓŁDZIELCZOŚĆ TO NIE SKLEPIK

Jest w „Jasnych Łanach” na przypieczętowanie spółdzielni ZSCh — sklepik. Bывают i takie tylko! Ale wówczas film musiałby odpowiadać na generalne pytanie — dlaczego?

Spółdzielnia gminna ZSCh ma inną perspektywę. Gdzie tu resztówka, gdzie przemysł lokalny, gdzie historia rozdziału nasion siewnych, nawozów, krów, koni, obsługi maszynami rolniczymi, traktorami, historia związków branżowych, upraw specjalnych? Gdzie tu historia walki biedniaków z kufakami? A każdy z punktów tego indeksu to jej rozdział. Każdy następny mówi o nowym etapie wzmocnionej pozycji biedniackiej wsi, o jej postępie w solidarności społecznej, w technice organizacji, w sztuce przechylenia na swoją stronę średniaków.

Każdy z tych rozdziałów wymaga zwarcia nie paru kukieł z szopki, ale grup, obózów w scenach zbiorowych. Pokażcie zapasy zboża u bogatych i wprowadźcie ich na zebranie, gdzie się dzieli ziarno na zasiew. Wyobraźcie sobie te dwie strony? I biedniackie: nie damy! A potem kompromis — damy, ale dajcie wy siewniki, brony i konie, konie do orki.

Wystudiujcie obiektywem te twarze i postacie, przerzućcie go na podwórza zagrod. Wygrajcie proces ustępowania większości pod naciskiem konieczności... no, jakich? I nie kończcie jeszcze. Pokażcie pola bogaczy, dużą gospodarke zbożową, ich małe ryżko w oddaniu pod buraki cukrowe, tytoń czy przemysłowe rośliny 1/5 czy 1/4 parceli. Pokażcie dziką, mieszaną, naturalną gospodarke małorolnych. To w jednym roku. A w drugim — małorolni zbiorowo ryzykują całymimi parcelami rejonizacyjną uprawę. Doganiają kufaków i wyprzedzają przez zakontraktowany zbyt, przez zbiorową do spółdzielni dostawę (premie, wymiana). Jeśli jest jakiś przemysłowy obiekt w posiadaniu Spółdzielni Gminnej biedniacy mogą już załawnestować traktor. Bagatela, cztery razy krótsza orka, dwa razy tańszy koszt dniówki. Jak! będzie miało przebieg w następnym roku zebranie w sprawie nasion, ziarna, nawozów, rozłożenia podatków?

8. BOHATEROWIE Z MINIONYCH STOSUNKÓW SPOŁECZNYCH

Sprawa bohaterów-przywódców. Jaką siłą społeczną reprezentuje stary Gruda? Żad-

na. To kreacja papierowa, z archiwum „starych sług u ślachejnych panów”. Trzyma się nowego nauczyciela, bo u niego „zawsze” mieszkali nauczyciele. We dworze bywał kiedyś Gerwazym, albo Grzegorzem, u jasnych i zbiedniałych panienek Rodziewiczówny, łagodnym Maksymem ku pomocy. Dalej ani na krok. Oto „poetyka” tej postaci. Dlatego w jego zapleczu wieść ukazana zbiorowo przypomina „Chatę za wsią” Kraszewskiego.

Kmiotki — potulna, natłwona i śmieszna masa. Wyodrębnią się... głupcy. To jest właściwy dla społecznego jej rozumienia kierunek derywacji. A krewniaczka Grudy, z którą żeni się nauczyciel? Najpierw — Axentowicz, Wiochna wsiowa. Czułe serce; rozpoznał, jak zwierzątko dobrych i złych panów. Bo i ona ma kierunek na panów. „Coś” ją odpycha od łajdacko wyglądającego. Eleganta i „coś” przyciąga do nauczyciela o obliczu rozanielonego kleryka. I tu jest Rodziewiczówna z nowel o pańskich zalecanach. Dziewczyna odciała od kręgu rówieśnic, od społecznego, instytucyjnego życia wsi. Przyjeżdża inżynier-mierniczy. I pokazuje się — „ja nie hodowałam się dla chłopów na służbę”. „A na cóż — pyta ojciec — na panowanie?” „Nie na panowanie ale i nie dla gburów”. Tak u Rodziewiczówny. A czy inaczej w „Jasnych Łanach”? Nie to, nie tamto. Dać jej lepszy los — powiedział w Ameryce zdemokratyzowany reżyser. I tu się rozszli z Rodziewiczówną, ona kazała inżynierowi zaniechać dziewczyny i wyjechać, za to go stary Makar pocałował w rękę. Wyspański, Rydel, Tetmajer pożenił się z chłopkami, ale w imię ideologii regeneracji biologicznej, powrotu do natury, „chłop potęgą jest i basta”. Zdrowa ładna i większa — dostateczny powód.

Nauczyciel w „Jasnych Łanach” pochodzi z robotniczej rodziny. Tak on wyznaje, film mówi co innego. Inteligent, jak cholera „siłaczka” w portkach. Dzieciom zawraca w głowie „szklanymi domami”. To po co on robotnik? Gdzie „walka klas”? Dlaczego nie szuka partyjnych kolegów we wsi, w gminie i nie od tego zaczyna? Oczywiście, to nieprawie dziecko Żeromskiego uwikła się w po-

jędnicze dramaty opuszczonego chłopca i opuszczonej dziewczyny. Kręca mu się przed nosem, no to małego wysła do szkoły technicznej, a dziewczynę... poślubi. Trudno sobie wyobrazić trzecią sierotę. Jużby nie podołał. I on przeprowadza elektryfikację? A skąd? Czy zaczął od przejrzenia warunków ekonomicznych wsi, poznał rozłożenie sił, potrzeb i możliwości w tej gromadzie? Decyzja zależy od pieniędzy, od gry różnych grupowych interesów. Ale ten problem w „Jasnych Łanach” nie istnieje. Udał się, nie ma co mówić, nauczyciel peeperowiec. Partii dla niego nie ma, rady gminnej — nie, klas gospodarczych — nie, młodzieży zorganizowanej — nie i dzieci również — nie. Bo czy dla nich ta elektryka? A kiedy on przeliczył dzieł, młodzież, jej warunki domowe, pracy, próżnowania? Możeby wówczas wybrać na kursy techniczne 20 z planowym ich przeznaczeniem do pracy we wsi od podstaw. Możeby w „Włochach”, w związkach branżowych, w rzeczywistej spółdzielni ZSCh znalazł dziewczynę-towarzysza, reprezentanta dynamicznej siły społecznej nowej wsi, a nie pierwszy lepszy eksponat ludomanskiemu mitu o wystarczalności biologii i szlachetnej duszy ludu.

Ta rekwizytoria kreacji na bohaterów wisi w próżni. Kukły z innych epok, stosunków społecznych i staroświeckich portretów literackich odcięły autorów od współczesnej rzeczywistości Polski i wsi. Trzeba zacząć od studiów społeczno-gospodarczych, od prac naukowych i publicystycznych, które przeorały problematykę wsi polskiej z jej wczoraj na dziś. Tu dopiero czekają na pisarza i reżysera odkrycia artystyczne i filmowe. W granicach nowej teorii poznania, w obliczu nowego, zmienionego przedmiotu poznania rozwija się nowe formy i nowe wzory kreacji bohaterów, nie odbijających się od tła, ale przez nie właśnie skonkretyzowanych. Bo koniec z tym szopką czy salonu! Masa społeczna i masa krajobrazu — one są w rzeczywistości i muszą być w filmie w ruchu i działaniu. Jeśli one nie będą znaczące i wyjaśniające, bohater będzie nie wyjaśniony i nie będzie znaczący.

Jan Aleksander Król

Anna Kamińska

CZYTANIE MIŁOSZA

Poeci, piszący u stóp oceanów,
nad którymi słówk kląska,
pamiętajcie o brudnych strumieniach.

Widzieliście, kapani w igliwiu
szeregi ludzi z władrami na mrozie
kupującymi kawał wody z pompy.

Są obok pałaców z bawelny
cuchnące strugi rynsztoków,
dziecko goni błyszczący papiererek.

Są kanały rur, z których tryska
woda na zupe z kartofli,
na kąpiel dla niemowlęcia w strupach.

Lecz my wiemy. I w upałach Florydy
marzy człowiek o płomieniu,
i nad obfitością źródeł dyszy pragnienie.

Dzień rozbłysły nad wschodnią półkulą,
języ na drugiej lęki nocy samotnej,
rosną gdzieś cienie zwierząt i ludzi.

A wszędzie, gdzie zdaje się: oto czysta miłość,
czysta łza, wiedza czysta —
cena napoju okazuje się zbyt okrutna.

Poeci, schyleni nad wnętrzem kwiatu,
są wody, po których płynie i do was litość,
jak uczeń zbiega po stopniach Publicznej Biblioteki.

PIEŚŃ BIESIADNA

Miłości żywot nietrwały,
Oslabia i nuży ją wszystko.
Pióro piszące listy
nie łączy tak pewnie jak łyżka.

Wy w ludzkim koleżeństwie, wy
ze stołowni i garkuchni,
wy jedni mi zostali,
którzy z głodu mszy nie robicie.

Wy nie z miłości, rozumnie,
nie myśląc o końcu świata,
przyszłości czerpnąć pośpiesznie
zupy z miejskiego kotła.

Dziś więc, nim papierowy obiad
zmienimy na żywą misę,
przypomnę wam w pieśni Teognisa,
poetę jadłnego stołu.

Przez ten czas i uczeń
niech serce odwróci od książki.
która trzyma na plecach
łagodnego kollarza.

A ci, co najdłużej czekają,
niech się pocieszą, bo wszystko
nagrodzi im dobra kucharka
dając gąszcz z dna pożywny.

Cieszcie się, żyć będziemy!
z łaski krup i kartofli
trwać i rozmnażać się w przyszłość
naszym zadaniem i celem.

Z nas miasta naprawią bruki,
ścisną się rzeki cembrowiny
i popołudnia niedzielne
zarofą. Z nas będą sztuki.

I jeśli pamięć pokoleń
jest jaka — nazwę przekaże
wiek społecznego jądła
czasom złączonych narodów.

Lecz oto już Sprawiedliwość
dla większej wszystkich uciechy
wargi pokryła purpurą
i chmurę pary niesie.

Wy jedźcie niepokornie
i hardo, (bo się należy
miska gorącej zupy),
choćby kradzioną łyżką.

NASTĘPNY NUMER

„W S I”

ukaze się z datą 29 lutego, jako
nr 8-9 — powiększony. Obejmuje on
zagadnienia kultury, literatury i sztuki
ludowej w aspekcie historycznym
i współczesnym.

Miedzy innymi:

W. NAŁKOWSKI —

POLEMIKI Z LUDOMANAMI

W. ŁUKASZEWICZ —

PROTOKÓŁY Z PRZEDWO-
JENNYCH U. L.

W. JAŹDŻYŃSKI —

GYMNAZJA CHŁOPSKIE

R. LESIAKOWSKI —

ROK CHŁOPSKIEGO
WYSILKU

J. A. KRÓL —

ROGATKI LITERACKIE

A. KAMIENSKA —

IDEOLOGIA „LUDU”

S. GIEROWSKI —

WYSTAWA SZTUKI LUDO-
WEJ W KRAKOWIE

Z. WISZNIEWSKI —

PURYFIKACJA POLSKIEJ
PIESNI LUDOWEJ

F. LEWANDOWSKI —

CZECZOT — „POETA
LUDOWY”

G. PRZECZEK —

ŚLĄSKI POETA JAN KUBISZ

M. ŻMIGRODZKA —

CZEGO UCZY NOWELA
POZYTYWISTYCZNA

T. LANDECKI —

WIOSNA LUDÓW

A. NOFER — L. BUDRECKI

WZNOWIENIA „POWROTÓW
DO NATURY”
(Kraszewski, Ramuz)

S. PIĘTAK —

ŻYCIE I PRACA PISARZA
CZESKA LITERATURA
CHŁOPSKA
I INNE

Teodor Goździkiewicz

NA PASTWISKU*)

(n o w e l a)

Jasiu!

Ten dzieciak jest okropny, na prawdę. Nie można go obudzić. Po prostu kłoda. Wołaj i wołaj — nie pomaga nic. Ani się nie porusza. Jak prawdziwe drewno. Nawet powieki nie dzwignie. Co za chłopak. Inne dzieci na pewno dawno już wstały i chodzą koło domu, a ten?

Wincenciakowa bierze coś jak gniew. Nie może sobie dać rady z tym chłopakiem. Chciałaby, żeby krowy wygnął wcześniej i popasał, bo potem przyjdzie wojsko na ćwiczenia i trzeba będzie z bydlęm uciekać. Na łakach nie może być wtedy, kiedy strzelają. A tymczasem Jasio nie chce wstać — ba, trudno go zbudzić.

Nie ma go przecież kto wyręczyć. Wincenciak ze starszym synem pojechali o północy do młyna zrobić trochę maki. Tak o tej wojnie ludzie pogadują, więc nie zaszkodzi, jeśli w domu będzie jakiś taki zapas. Ona znów musi być w obejściu. Więc ani przecież sama, ani tamci tego bydlę popaść nie mogą.

Ponawia zatem swój macezynny rozkaz: — Jasiu, wstaw! — woła i szarpie go za chudą rękę wychyloną spod pierzyny.

Wołanie Wincenciakowej nie odnosi żadnego skutku. Jasiu zmienił położenie, pokręcił głową wciągając ją tróskliwie w poduszki i wyprostował rękę. Wyrzucił ją w powietrze — opadła na pierzynę i wysterczyła poza deskę. Zwisnęło ku dołowi pięć strużek opalonych palców.

Ale właściwie Jasio już nie spał, już wszystko słyszał. Tylko jakaś ogromna niemość, jakiś ciężki beznamiętny trzymał go na poduszce. Matka na próżno krzyczy, na próżno narzeka. Dawno by wstał, żeby tylko mógł unieść głowę.

Wincenciakowa postanawia użyć ostatecznego argumentu. Szarpie go energicznie za głowę i opowiada:

— Jasiu, wstawaj — wstawaj!... Wczoraj po południu, jak byłeś u ciotki, to żołnierze znówu się ćwiczyli... Strzelali aż strach... Tam na pastwisku pełno giłz... Wstawaj! Jak się spóźnisz, to ci jeszcze Franek Kmieciak wszystkie pobiera...

Ale Jasiu w myśli pogardliwie wydyma wargi: wielka mi rzecz gilyz!... Też matka opowiada!... Ma ich już przeszło dwadzieścia, a jak tak dać! pójdzie, to niedługo uzbiera pięćset. Żołnierze ćwiczą się codziennie i strzelają — na prawdę strzelają. Samych tych z czerwonymi prążkami ma... zaraz — ile to? Niech sobie Franek bierze — on mu nie będzie żałował...

Chociaż — uprzytamnia sobie Jasio jego chytne czarne oczy myszujące po murawie i chwytną rękę wyłupającą z trawy tuste żółte wałki gilyz — i budzi się zupełnie.

Nie, do tego nie może dojść. Zeszedł z łóżka, ubrał się powoli sapiąc przy zapinaniu guzików. Nie chce się zupełnie zapinać. Myśl się nie będzie. Ta woda jest ogromnie zimna. Umyje się po przynajmniej krowę do domu. Niedługo i tak musi zejść z pastwiska. I tak go żołnierze spędzą około godziny siódmej.

Przyszedł z dworu Wincenciakowa. — No, nareszcie coś się zwióknę! — wyraziła opryskliwie swoją radość.

Na świecie jest jeszcze zupełnie ciemno. Nad borem tylko od strony wschodniej tkwi szarosrebrne światło jakby daleki odbłask powierzchni przewróconego na ziemię lustra. Krowy idą powoli, jakby niechętnie, i gubią po drodze szaraczeliwe placki parującego nawozu.

— Chleba ci dać? — woła za nim matka. — Nie, nie chce mi się jeść — odpowiada sennym jeszcze głosem.

— Stuchaj, weź trepi, bo zimno! — dodaje jeszcze troskliwie.

Nie — nie weźmie i trepków. Teraz się przydadzą, ale później się ociepli, to tylko z nimi bieda. Nieś je w ręce do domu. A jakby — nie daj Boże — zapomniał z sobą wziąć z pastwiska, to trzeba zapychać po nie drugi raz. Nie ma głupich.

Na pastwisku jest mroko od rosy. I zimno. Szkoda — terazby to trepi... — myśli dość żalownie. Krowy nie chcą jeść. Nadmiar rosy, chłód obrzydza im trawę. Idą naprzód, powachują — przechodzą od brzegu do brzegu pastwiska.

Jasiu je zawraca, pokrzykuje zachęcająco, ale to nie wiele pomaga. Chodzą i chodzą jak głupie. Ponieważ docuła mu zimno w nogi, więc Jasiu podskakuje, przyskłada, jednak nogi mu szczyrniały, a na pęknięciach szczypią i palą. Zimno mu na prawdę i Jasiu wypatruje słońca.

Ale do niego chyba jeszcze daleko. Pas jasności się naprawdę rozszerzył za borem, jakby zgęstniał i bardziej zsiwiał, ale do wschodu słońca jeszcze kawał czasu. Jasiu się dobrze na tym zna. Zimno na prawdę.

Aha... jest rada. Oto Bielicha w swojej wędrowce po pastwisku przystanął, podciągnął zadnie nogi do przednich, wygiął grzbiet w foremny pałak, wyprostował ogon i oddał moc zgniozloną strugą. Strzyknęła kilka razy resztkami płynu na zakonczenie, kaszlnęła, wyprostowała się i poszła dalej powachując trawę.

Jasio natychmiast podszedł i stanął w ciepłej kałuży. Tak to co innego.

Krowy się nareszcie zatrzymały i zaczynają pojadać bez przekonania, a Jasiu patrzy dookoła. Tak wszystko jest jak było. I rów obrosnięty żrudziak olśnyna i nawet Kmieciak siewnik na polu. Stoi tak od wczoraj rana. Widocznie Kmieciak nie zdążył wstać ze wszystkiego. Jasiu patrzy po nim i widzi, że tam, gdzie rda nie mogła dać rady farbie, tam przeświecają zielone, zakurzone plamy.

Jasiu wypędził też było wcześniej i już pasł, kiedy właśnie przejeżdżał koło niego Kmieciak z siewnikiem na pole.

— Marcinie, co wy już będziecie siać? — zawołał.

— Tak, będę — odpowiada Kmieciak.

— A co? — dopytywał dalej Jasio rad, że ma z kim parę słów zamienić.

— Żyto z wyka. —

— A nie zawczesznie?

— Nie...

I widocznie Kmieciak nie skończył siewu, bo zaraz po wschodzie słońca przeszło dużo żołnierzy, zaczęła się strzelanina, więc i on i Kmieciak musieli zejść z pola. Potem Jasio poszedł za bór do ciotki po olegalki i nie wie, co się dalej działo.

Stoi oto w kałuży, grzeje nogi i myśli o tych wczorajszych olegalkach, ale krowy nie dają mu długo korzystać z tego własnego dobrodziejstwa. Podeszły do tamtego brzegu pastwiska i zeszły ku Kmieciakowej seradeli. Wiadomo, co z tego będzie — szkoda. Opuściła Jasio swoje stanowisko nie bez żalu z okrzykiem protestu — „a gdzie!” i zagraża drogą. On wali wcześniej tej szkodzi zapobiec. Potem to są tylko wymówki i narzekania: a spasione, a krzywda, a jak to pilnują... a cudze...

Przystanął nad zdeptaną miedzą i stwierdził, że mu w nogi jeszcze zimniej niż przedtem. Rozgrzały się w krowim moczku i teraz są wrzawiejsze na chłód jeszcze bardziej. Trzeba było inaczej z tymi trepkami... Oj szkoda!

Wrócił na dawne miejsce, ale było zaledwie trochę cieplej. Uciekło gdzieś nie wiadomo kiedy. Postał więc krótko i stwierdził, że się dłużej nie optaci, opuścił to miejsce. Poszedł nad rów przy olszynie. Tu przed dwoma laty usypana burta nie była tak obrosnięta trawą, rosy było mniej, tu i owdzie przegładająca golazienka piasku była dość sucha i ciepła.

Postał bez ruchu kilka chwil na jednej nodze — wstrząsnął się z zimna. Przeszły go dreszcze.

— Kiedyż to słońce wejdzie? — zapytał w myśli samego siebie.

A słońce nie bardzo chciało wstawać. Rozjaśniło się tak powoli jak nigdy: jakby światło ktoś umyślnie dusił. Na wschodzie pokazała się żółtawa prążka i zdawała się nie nie rosnąć. Nawet niby malała, bo od boru zaczęły parować mgły, rosły ku górze, rozszerzały się w równy, gęsty tuman i zatapiały dolne miejsca ziemi jakby w rzadkiej, roztrzępanej śmiecinie.

Nie — tego słońca już się chyba nie doczeka. Jeśli będzie stał — zmarnie.

Ruszył wolno po swoich miejscach pastwiska. Tu tydzień temu robił miotłę. Leżał sprasowane siedzeniem odarte z mietlanej liście. Są mokre od rosy i burawe od przeschnięcia. Matka się wtedy z tej miotły ogromnie ucieszyła — zrobił jej prawdziwą niespodziankę.

Tu z Frankiem przedwczoraj grali w bierki. Musieli je sobie strugać kozikami na poczekaniu, bo żaden z nich nie miał starych. Dawno pogubili i, jak ich naszała chęć zagrania, musieli robić nowe. Znać wysiedziały w trawie ślady i ogorzałe już od słońca strużyny pozwywane jak rogalki.

A tu... aha! Osił!... Mają gniazdo po tamtej stronie burty. Wejście było ukryte w niedużym krzakcu jeżyn. Ale z tego krzaczka nie zostało ani śladu. Roztrzaskali je kamieniami, piorąc na oślep w wylatujące z ziemi owady.

Osy odkrył Franek. Usiadł sobie kiedyś na burcie, a tu go osa jak nie utnie!... w ucho! Spadła gdzieś z powietrza. No, wiadomo — jeśli osa tak atakuje, to gniazdo jest gdzieś bardzo blisko. Póty zachodzili, póty podpastrywali, aż wykryli. Nie było znowu tak bardzo trudno. Żółte plamki leżących owadów, jak półwidzialne pociski, obciążone zdobywać kierowały się stale w jedną stronę. Siadali na ziemi i nikły między kilku gałązkami jeżyny. Po zachodzie słońca, kiedy lot ustał, znaleźli miejsce: mały otworek wielkości mysiej dziurki.

Odtąd rozpoczęła się walka: uparta, zjadła, ciągnęła. Czasem atakowali chłopcy. Nakładali kapoty na głowy, brali w rękę kamienie, podchodzili i rzucali w wyłot gniazda. Podrażnione hukami osy wysypywały się rojem i rozpoczynała się gonitwa. Około głowy każdego z chłopców wirowało stado rozjadanych owadów, uderzających z gniewem w głowę ubezpieczoną kapotą.

Osy zrobiły się zle i napastliwe. Nacierają na każdego. Nie pozwoliły przejść nawet krowie: zaatakowana podnosiła głowę, fukała ze złości, zadzierała ogon do góry i puszczała się w bieg na oślep po pastwisku, a potem buchała w olszynę, ocierała gwałtownie boki o gałęzie i liście i oddalając się coraz bardziej w ten sposób pozbywała się natarców.

Teraz gniazdo było ciche, uspokojone i bezpieczne. Bezludna kupka ziemi leżała naokoło wylotu mokra od rosy. Jasio przykucał i patrzył pilnie w ciemny otwór. Chyba pusto — nie, jest jedna. Siedzi w trawie tuż blisko jamki. Wygląda na to, jakby nie mogła wejść, jakby nie zdążyła wsunąć się do gniazda, bo tu ją chłód złapał i unieruchomił. Pewnie już martwa?...

Ale nie. Jasio trącił ją kijem — żywa. Zatrzęotała niemrawo skrzydłami, przewróciła się na bok, wygięła w łuk i zafalowała prążkowanym odwłokiem: naprzód i w tył —

naprzód i w tył. Tam ma żądło — pomyślał Jasio z ukrytą obawą i przycisnął kijem osę do ziemi. Spomiędzy dwu żółtawych kłapek błysnęła ostra, czarna, błyszcząca igielka.

— Ech, żądło — wysepienił z pasją Jasio i przycisnął kij do ziemi jeszcze mocniej. Korpus osy pękł, wyszła z niego wilgotna biała masa i przylepiła się do kija.

Podniósł Jasio zdobycz do góry i obserwował, co się z osą dzieje. Ruszała niedołężnie nogami i dwiema nożycami szczęka. Żył. Tylko odwiok wgnieciony do środka pozostał martwy z czubkiem wysuniętego żądła.

— Ech, mam cię!...

Nagle tknięty jakąś ukrytą myślą podniósł oczy do góry. Zatrząsł się. No tak — wszystkie krowy w szkodzi — wszystkie krowy w seradeli Kmieciaka. Jedzą pilnie, łapczywie, jakby sobie w swoich krowich mózgach zdawały sprawę z przewinięcia i tymczasowości całej uciechy. Skoczył Jasio jak podrzucony sprężyna, dobiegł i zaczął trząskać kijem skrzęsowate boki przestępców, aż znów się znalazły na środku pastwy dojadające wiszące u pyska zielone wiechcie nielegalnej zdobyczy.

Stanął z boku zdyszany i zły. Że też na chwilę nawet nie można zdjąć z nich oczu — z tych diabłów: zaraz leżą w szkodzi. Spojrzał po świecie. Było już zupełnie widno. Mgły opadły. Zginęły gdzieś. Szarość roszała się. Za borem rumieniał się góra brasku: stamtąd wydzie słońce niezadługo i może będzie ciepło. Czas najwyższy. Dostę już zmazł.

Gdy tak myślał, usłyszał od strony granicy, gdzieś z bardzo daleka, tam gdzieś od Koniowodów, gdzie tydzień temu szło tyle wojska i wozów — usłyszał od tej strony daleki strzał armatni. Pojedynczy, sam jeden. I kiedy nawet nie zdał sobie sprawy dobrze z tego, co się stało, zgryźnięty trzy ostre salwy maszynowego karabina, a po nich długa seria ciągłego ognia, jakby wypruta z długiego szwa dzwinków.

I znowu karabin maszynowy zajazgotał — zły, kaśliwy, pienisty. Ale jakby inny. Ech, chyba mu się zdaje. Kucnął przy brzegu pastwiska od strony seradeli Kmieciaka i słuchał przepierania się dzwinków. Raz strzelał przepierania się dzwinków, raz strzelał przepierania się dzwinków, raz strzelał przepierania się dzwinków, raz strzelał przepierania się dzwinków.

— Pewnie się znowu gdzieś ćwiczą, — tym razem nie u nas... Ale tam musi być gilyz, no... — przysłała mu zawistna myśl do głowy.

Gdy tak myślał i słuchał strzałów upłynęło sporo czasu i słońce wzeszło. Zawisło na borem czerwonym krąkiem bezpromiennym. Mgły znikły. Od drzew, od olszyn położyły się długie, granatowe cienie, ale na miejscach oświetlonych rozpostarła się żółta, mdła jasność; zaczynało być cokolwiek cieplej.

Tam zaraz za Koniowodami ziemia podnosiła się ku górze. Łagodny łuk wzgórz wypinał się szczytem ku niebu i opadał niskimi brzegami w zieleni lasków, pastwisk i pól. Przez środek jego, jak przez grzbiet bochenka chleba przechodziła biała krajka szosy. Przy jej bokach rosły rzadkie, nieduże drzewka posadzone niedawno.

Jasio ma to wszystko przed swoimi oczyma, kiedy tak patrzy przed siebie, grzejąc plecy we wznoszącym się coraz wyżej słońcu wrześnieim. Widać wszystko ogromnie dokładnie. Ma wrażenie, że to obrazek. Kiedy tamtydy siedzi na odpust zeszłego roku i w tym, i kiedy tam był — zdawało mu się, że wszystko jakby inaczej wyglądało. Po prostu odkrywał szczegóły po szczególe — bardzo zwyczajnie. Ale tu stąd wszystko mu się rzuciło razem w oczy: skupione, obramione i linią nieba i linią ziemi, i stąd jakby obce i jakby nieznanne. Niby wyrwane z obrazka snu, niby wymyślone pod czyjeś opowiadanie.

Ta szosa taka dziwna — prawdziwa wstażka. A te drzewka niby szypuły zielone powytłakane po brzegach dla umajenia wstażki. Jasio tam nieraz lubi patrzeć. Tam się zawsze coś dzieje. Albo jedzie wóz, albo przemyska rower. Albo pcha się powolnym marszem człowiek.

O, jakby teraz: zza grzbietu wyniosłości wychylił się samochód. Światło igra z jego kolorową pokrywą, a on pędzi — ruch... kurz...

O, drugi prawie za nim... Ciekawe — czy drugi dogoni pierwszy, czy też ten ucieknie? O, trzeci! Ale pędzą!... I ten kurz...

O, czwarty!... Piąty!...

Ale szkoda liczyć i Jasio już nie liczy. Przewalio się ich tyle. I ciężarowe i osobowe — wszystko to przejechało grzbiet, opadło w dół i pomknęło w stronę miasta. Co to może być? A swoją drogą, jak to strzelają!... Armat tu blisko nie słychać, tylko karabiny, ale gdzieś daleko — tam ku południowi, to aż się ziemia trzęsie.

To się muszą ćwiczyć!... Nasuwają się Jasiowi różne myśli. Siedzi plecami do słońca i grzeje się. Czasem odwraca głowę, aby skontrolować czy krowy dobrze jedzą. Tak — jedzą. Więc patrzy znowu na szosę.

Coś tam się musi dziać. Bo oto teraz zszła wzgórz wychylają się jeden za drugim wozy i pędzą w dół na złamanie karku. Jest ich dużo, nawet Jasio nie liczy. Zsuwają się ruchomym sznurem ku dołowi — w ruchu i w kurzu.

Zagrało mocnym, równym brzękiem w powietrzu: oho, samoloty. Jasio zadziera brodę, zmrusza oczy i wolno prowadzi nimi po niebie. Trudno widzieć. Góra jest lekko jakby przydymiona i samoloty giną w tym tumanie. Jasio słyszy je bardzo dobrze, rozumie, że przybliżają się dość szybko, ale nie widzi nic.

Ma wrażenie, że lecą ku niemu. Chyba tak. Nieraz tedy przelatwały, ale tak nisko, że prawie wszystko widział. I znaki i ludzi też siedzących w kratkach z prętów. Te nie — kryją się gdzieś wysoko i huczą jakby się kołysały.

Gdy tak myśli, widzi, że w pewnym miejscu na niebie zaczęła się pleść podwójna biała linia, jakby ślad po kołach. Linie te były równe, proste i bielusiennie niby rysowane mlekiem. Zawisły w przestrzeni jakimś nieodgadnionym znakiem.

Grzmot samolotów oddalił się i ścichł, ale nie zamiknął. Zdawano się Jasiowi, że poszedł bokiem, obkółował i prawie zacichł poza borem. Nie zdążył jeszcze Jasio zdjąć oczu z nieba, gdy dźwięk motorów znów wzmożł się i przybliżył. Szły teraz jakby niżej, warczały mocniej i wyraźniej. Tak — miał rację. Lecą prawie z boku i widać je: trzy... sześć...

Równe, czarne, huczace. Nadleciały wszystkie sześć nad niego — wysokie, przemyskające w tumanie niby za gazową przestoną — i zaczęły znówu snuć ową podwójną, białą linię. Przekreślała ona tamtą pierwszą tak, że na niebie utworzył się bielusienny, foremny krzyż.

Samoloty odleciały na północ, zniżyły się i znikły w dali dla oczu, ale nie znikły dla ucha. Słychać było wciąż ich uparty, falujący głos — tak, jakby leciały dalekim i wysokim kołem. Naprawdę obkółowały. Widać: lecą teraz od tamtego końca Koniowodów ich zgarbione skrzydlate sylwetki. Widać je bardzo dobrze. Ciekawość i niepokoju trapi Jasia męczącym uczuciem młodości.

Co to wszystko być może? Co to znaczy? Ćwiczenia jakie czy...

Nie skończył swojej myśli niepokojącej. Gdy tak patrzył w górę po czarnych kadłubach rozkrzyżowanych na mglistym niebie, zdawało mu się, że coś tam pod nimi błysnęło, coś zawył — Jezus, Maria! — rozdarła się ziemia... Ogień, huk, dym i sto głosów różnych dziłkiego grania zawył gdzieś nad nim i koło niego w jednej chwili. Przysięgnęło Jasio do ziemi: struchlał. Trzy czarne kłęby dymu zawisły w powietrzu, a między nimi stał samotny, opuszczony siewnik Kmieciaka. Trzy razy raz po raz! Potem świat ogarnęła męcząca cisza i tylko w niej słychać było oddalające się, równomierne huczenie samolotów.

O, Jasio teraz wie — to jest wojna. Na pewno. Te samoloty, to samoloty niemieckie. Tyle się przecież nasłuchiwał w szkole przed wakacjami!... Więc jednak... Ale te wybuchy! Może to gazy? Jasio jest zgnieciony hukien, wstrząsem, niespodzianką.

Krowy zbiły się w stado na środku pastwiska. Nie jadły. Jasio pomny przedwakacyjnych w szkole pouczeń wczoił się do rowu i przykucał w olszynowym krzaku. Czas był najwyższy, gdyż brzęk samolotów znówu się przybliżał.

Ostrożnie wytknął głowę i spojrzał po niebie. Leciały teraz nisko tylko trzy. Ale jeszcze niżej niż przedtem. Wsunął się szybko w gąszcz i tuż zaraz powtórzyły się te same huk okropne, co przed chwilą. Huki były tak silne, że wstrząsały nim całym. Skurczył się, zmałał, głowę przycisnął do ziemi i leżał jak martwy. Ledwie oddychał. Język mu zeszytniał, w ustach wyschło i serce omal nie urwało się, tak było mocno.

Nie zdążył nawet pomyśleć, co robić, jak się ratować, gdy znówu wybuchły trzy huk. Ryk samolotów miażdżył Jasia, odbierał mu wszelkie uczucie. Już nie odlatywały daleko. Latały w pobliżu, szerokim kołem zakreślały niby po niedalekiej linii horyzontu, wracały i waliły bomby raz za razem w samotny, opuszczony siewnik Kmieciaka.

Te jego krowy. Stoją ogłupiałe, zastrachane, bezradne. Obie stare zwróciły się łbami do siebie i trwają bezczynnie. Tworzą trójkąt. Między nie wszedł cielak. Weisnął ogon pod siebie, jak pies przed białem i stoi bezradny, cielecy. Jasiowi tych krow żal. Nieraz, gdy mu w szkodzi leżał i nie słuchał jego ostrzegawczych krzyków pasterza, Jasio im życzył najgorszego: posyła do diabła i — jeśli nie ma nikogo w pobliżu — nasyła na nich cholere. Do tego wali kijem, jeśli mu się pozwolą dogonić. Ale teraz ich spuszczone łby, ich smutne miny, ich zmęczona od dreszczów strachu skóra — wsządza w Jasiu uczucie litości. Biedne krowy!...

Gdy się tak rozkłkwiła nad nimi ułankami zdolności swoich odczuć — wybucha zupełnie niespodzianie ostry brzęk motoru na zakręcie, następnie głos ten cokolwiek naciha i jednocześnie drzazga seria z karabinu maszynowego. Jasio widzi: Bielicha wstrząsa się gwałtownie niby od niespodzianego kopnięcia i pada na cztery nogi — najpierw w kłęk, a później zupełnie na pysk. Następnie po małej chwili wali się na lewy bok, grzbietem do niego. Widać przez jakiś czas niezrozumiałe ruchy łba, powolne ale równe drgnięcia „prawego biodra, a potem wszystko zamiera, uspokaja się.

Co się tej Bieliszce stało?

Poderwało się serce w nagłym skurczu żalu, Jasiu wybiegł z olszyny, przeciął połowę pastwiska chyłkiem, dopadł krowy, oparł rękę na jej boku. Dłonie mu się zsunęły po ciepłej ale martwej skórze. Bielicha nie żyła. Pod sierścią na piersi rosła czerwona łata krwi. Oko było wyrwane, za mgłą, pod rzęsa jasniał kąt odkrytego białka.

Ale nie czas na żale, bo oto słychać falujące poryki motorów. Samoloty nadlatują. Więc Jasio odrywa się od zabitej krowy i

*) Z tomu „Znaki czasu“, który się ukazał nakładem Spółdzielni Wyd. „Książka“.

chyłkiem zawraca w olszynie. Wpadł w krzaki, ale nie schował się. Został zauważony. Lotnicy widzieli dokładnie człowieka kryjącego się w porośniętym rowie. Obniżyli lot, zastrzelili pozostałe dwie sztuki bydła i zapołowali na człowieka. W trójkę przeciągali nad pastwiskiem, normowali lot wzdłuż rowu, przechylali burtę samolotu i cięli krzaki długimi seriami strzałów. Leciały z olszyn gałęzie i liście, po drugiej stronie rowu wykwitały wiązki siwego pyłu wzniesione pociskami uderzającymi w przeciwną burtę.

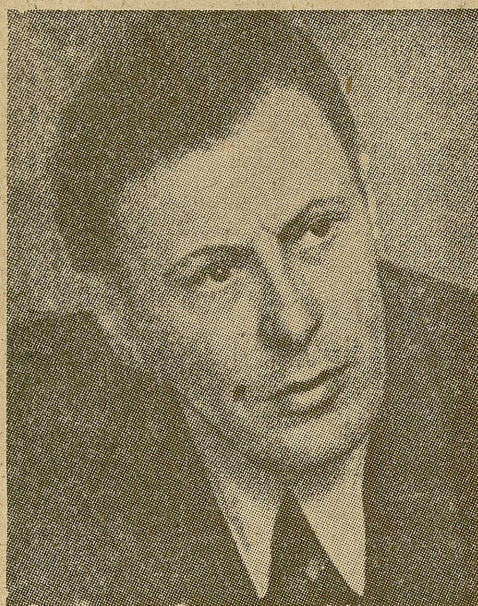
Jasio skulił się w rowie z przerażenia. Wieloraki świst pocisków drążących nad nim powietrze przykuwał go do ziemi. Bał się oddychać i patrzeć. W pewnej chwili odczuł cios i ból w plecach, jakby go ktoś zderzył kijem. Działając według praw ciemnego instynktu poderwał się z ziemi i chciał z cienia krzaków wybiec przed siebie: na pastwisko, w świat, do słońca. Ale tylko uniósł się do połowy ciała i upadł na twarz wyciągając przed siebie ręce — do światła.

Było może koło godziny dziesiątej przed południem, kiedy samoloty odleciały, uciszyło się trochę i Wincenciakowa wyszła z piwnicy na świat. Tkwiła w obejściu sama. Nie przyjechał stary z młyną ze starszym chłopakiem, nie przyszedł król Jasio. Więc wybiegła z domu na chybicka i naprzelał przez cudze pola zdała do pastwisk. Minęła nieknięty siewnik Kmiećka otoczony lejami od bomb, znalazła ze zgrozą wszystkie zabite krowy. Jasia nie było. Trwoga jej wzrosła. Obejrzała się wokół bezradnie.

— Jasiu!
Odpowiedziała jej martwa cisza. Martwa po tylu łukach i strzałach.
Gdzie on może być? Wszędzie przecież puśto. Ruszyła w stronę krzaków rosnących nad rowem. I znów stanęła — znów woła:
— Jasiu!
Poszła wzdłuż równego szpaleru młodych olszyn i tu go znalazła. Spostrzała najpierw wysterczającą z krzaka rękę, z której spływały ku dolowi martwe strużki sinych palców.
Teodor Goździkiewicz

Tadeusz Drewnowski

WYROK ZAGŁADY NA JERYCHO



Tadeusz Breza

„A tak posłał Jozue, syn Nunów, z Syttym dwu szpiegów potajemnie mówić: Idźcie, wypatrujcie ziemię i Jerycho”.

Z Ksiąg Jozuego, rozdz. IV.

Czytając Mury Jerycha¹⁾ i jednocześnie zapoznając się z krytykami poświęconymi tej książce, dochodzę do przekonania, że sprzeczności w recenzentów są wynikiem bogactwa i zawilosci tekstu. Rozbieżne są nawet sądy recenzentów, posługujących się tym samym kodeksem krytycznym.

Krytycy operujący metodą socjologiczną uważają za swoje zadanie zorientować wszystkie elementy dzieła literackiego wobec rzeczywistych procesów epoki, procesów ekonomicznych, społecznych, politycznych, kulturowych, artystycznych. Krytyk chce odczytać sens książki w danym historycznym kontekście.

Jan Kott pokazał na przykładzie „Lalki” czujność pisarza realisty. Symptomy wszystkich naczelnych przemian znalazły się w tej wielkiej powieści o specyficznie polskim, kapryśnym kapitalizmie.

Ale jednocześnie ten sam krytyk z entuzjazmem pisze, że „Mury Jerycha sięgnęły najdalej i najgłębiej w istotną treść polskiego faszyzmu”²⁾.

Melania Kierczyńska kontruje: „Mury Jerycha” nie są powieścią polityczną, nie mówią niemal nic o faszyzmie”³⁾.

Dyskusja nad oceną Murów Jerycha jest otwarta, gdyż krytyka nie wyszła poza te skrajne sformułowania. Być może, więcej materiału dyskusyjnego dostarczą następne tomy zapowiadanej trylogii Brezy. Ale już w przededniu ukazania się drugiego jej tomu, nasuwa się wiele interpretatorskich koncepcji.

Jednym z supłów problematyki krytycznej jest zagadnienie mowy pozornie zależnej. Rozwiązanie go pieczołowicie na przykładzie „Czarnych skrzydeł” Kadena Dawid Hopenski. Ze względu na mikroskopijne rozmiary socjologicznego dorobku krytycznego obowiązującej petyzmy wobec tych pierwszych, nowatorskich pomysłów. Krytyka zaniedbała sprawę mowy pozornie zależnej w kontekście Murów Jerycha, manieri pisarskiej, dość konsekwentnie przez Brezę stosowanej.

Kazimierz Wyka w jednym z rozdziałów milowej recenzji „Powieść o polityce”⁴⁾, odprawił egzorcyzmy nad Murami Jerycha: to nie Kaden! Porównanie z Kadenem ograniczył Wyka do zagadnienia osób — mitów u Kadena, i idiograficznej metody w traktowaniu postaci powieściowych przez Brezę.

Zlekceważono porównanie najbardziej zewnętrznych oblicz prozy Brezy i Kadena, zaniedbano analizę pouczających różnic w wyglądzie i funkcji mowy pozornie zależnej u obdwu pisarzy.

Świat w książce Brezy jest widziany kolejno oczyma różnych postaci. Zniknął wy-

odrębniiony, samodzielny komentarz autorski — bezpośredni wykładnik poglądu autora na świat.

Fakty jak gdyby przemawiają same za siebie. Wszystkie wydarzenia przechodzą przez pryzmat sądów postaci. Na tkaninę powieściową składa się obszerny dialog i odkryty wewnętrzny monolog. Dialogi potwierdzają starą regułę: mowę dano człowiekowi dla ukrywania myśli. Monologi zaś odsłaniają najskrytsze refleksje, maskowane ambicje i pragnienia. Naturalnie, napotyka się często w tekście zdanie, czy grupę bezpiecznych zdań, ale nie składają się one w zarys przynajmniej autorskiego komentarza.

Pisarz cytując kreowane przez siebie postaci powieściowe, nie unika rozmów, nie cenzuruje ich, jak Stendhal. Pamiętamy usprawiedliwienie Stendhala z pierwszych stron „Czerwonego i Czarnego”: „Ale młmo, że zamierzam przez dwieście stron mówić o prowincji, nie posunę się do tego okrucieństwa, aby wam kazać słuchać młdych i rozwlekłych rozmów”. Poziom prowincji francuskiej nie wiele ustępował klasie intelektualnej ministrów sanacyjnych. Przypomnę prymitywne język i karłowate myśli w „Strzępach meldunków”.

Ale proza Brezy to nie kadenowska, prymitywna odmiana mowy pozornie zależnej, która niszczy najbardziej pasjonującą w utworze specyficzną formę literacką — wyraz doświadczenia społecznego jednostki, atomizuje i zaciemnia rzeczywistość. Poza chwyttem piarskim nie ukrywa się bezradny człowiek, zdezorientowany pisarz, sceptyczny myśliciel.

Komentarz autorski zaaplikował Breza samym postaciom podwijając tym sposobem poziom dialogów i monologów swej powieści. Autor nie ograniczył się, jak Kaden, do nadania tylko pewnej składniowej i leksykalnej poprawności. Zamienił banał na intelektualną niespodziankę i rewelację. Autor, wydaje się, jest w posiadaniu dokłdnych aktów sprawy, ale związany słowem, nie może z nich bezpośrednio korzystać. Wiedza wprost nie wyjawiana pozwala jednak Brezie uporządkować disiecta membra zewnętrznego świata według pewnego logicznego systemu. Wspólny mianownik rozmów i wyznań stanowi subtelna satyra. Tylko pozornie fakty i zdania są sobie pozostawione. A rzeczywistość czuwa za nimi interpretator, intelektualista, który winduje je na wysokie myślowe piętro, czuwa satyryk, który zestawia paradoksy, tworzy alegorie i czyni aluzje, („czy nie za poważna rozmowa na paradoksy”, „i wciąż te alegorie”).

Postaci Brezy cierpią na przerosty krytycyzmu. Przy każdej okazji nawzajem się kompromitują. Satyra nie ogranicza się wyłącznie do wewnętrznej wymowy tekstu, do kunsztownej gry sytuacji, opinii i słów. Wiedza czytelnika, oddzielonego od opisywanych lat przegrodą wojny, podnosi niektóre partie książki do miary tragicznej farsy. Posłuchajmy deklamacji ministra Jaszczy:

„...Dokuczaj mi ta myśl o waszym strachu. Noc w noc tysiące ludzi trapi się. Niepotrzebnie. Jesteśmy możliwie na najlepszej drodze. Do pracy dla każdego, do praw dla wszystkich, do służnej dumy ze swego narodu. Niezadługo jedno pozostanie, żeby bać się — śmierci. Tej nie zwyciężymy! Ale, tak jak i jej, podobnie naszego kraju nie nie zwyciężymy. Więc mogą państwo spać spokojnie”.

Książka Brezy przedstawia ludzi z zamkniętego kręgu sanacji i oeneru. Stosunki w obrębie murów sanacyjno-oenerowskiego getta układają się na zasadzie naturalnych kontaktów, bądź „zawodowych”, jak w wypadku zakonspirowanego pogrzebu króla Stanisława, bądź organizacyjnych (spotkania narodowców u Medekszańki), czy towarzyskich (wielkie przyjęcie u Sztetlerowej). Jelski jest postacią, która pojawia się we wszystkich trzech typach związków. Jelski jest pierwszą wprowadzoną do powieści osobą i od niego zaczyna się sieć normalnych znajomości w obrębie świata Murów Jerycha. Osoby, które przynajmniej pojawiają się w powieści, np. murarze w scenie pogrzebu królewskiego, są zbywane jednym słowem. Wewnętrzne powiązania wykreślają granice ekskluzywnego środowiska przedstawianego w powieści. Także zainteresowania reprezentantów określonych formacji społecznych w pewnym miejscu gwałtownie się załamują, wyznaczając zasięg spraw powieściowych. Autor nie ingeruje widocznie w organizowanie fabuły powieściowej; ona układa się naturalnie, określona spłotem rzeczywistych międzyludzkich stosunków oraz zainteresowań społecznych danego środowiska. Dlatego nigdy nie przenosi się obiekty-

wu pisarskiego poza mury, nie pozbawia się prawa głosu postaci powieściowych. Osoby są tylko interpretatorami i glossatorami skądinąd znanej rzeczywistości; nie potrzebują się wzajemnie informować o tym, o czym doskonale wiedzą. Czytelnik także wie z własnych przeżyć i żywego podręcznika historii.

Mury otaczają sanacyjno-oenerowskie Jerycho. Krytykę przeprowadza autor w ich obrębie, przy pomocy mieszkańców Jerycha, ich wzajemnych niesnasek, starć interesów, obłudnej frazeologii. Mury Jerycha są immanentną krytyką sanacji i oeneru w ostatnich przedwojennych latach.

Okazuje się, że zbyt wiele powiedziano mówiąc o Murach Jerycha jako powieści o polskim faszyzmie (Kott). Wiele elementarnych zjawisk, podstawowych faktów faszyzacji kraju, znalazło się poza tekstem powieści. Zestawia je w dyskusji M. Kierczyńska: „trzymanie za mordę”, sejm mianowańców, dyktatura Rydza, dwadzieścia tysięcy więźniów politycznych, śruba podatkowa, walka z głodem i bezrobociem i tak dalej i tak dalej. Wymienione zjawiska nie dotyczyły przedstawionych przez Brezę ludzi, oni — o ich istnieniu nie chcieli wiedzieć.”

Zarzuty Kierczyńskiej streszcza poniższy fragment jej recenzji (mowa o aresztowaniach komunistów, łapaniu ich do więzień, czy na stryczek): „Za co? Za gwałtowanie po notesach, za druczki, za te wszystkie kombinacje pozbawione pełnego ludzkiego istnienia?”. „Istotnie trzeba aż takiej próżni społecznej, jaka cechuje Mury Jerycha — komentuje recenzentka — żeby stonować nieco groteskowość tego traktowania przez szefa defensywy na obszary wschodnie walki komunistów jako „gwałtowanie po notesach”, jako „sprawy oderwane”.

Wydaje się, że próżnia społeczna „Murów Jerycha”, w której istotnie zawisła powieściowa sanacja i oener jest literacką ilustracją dla rzeczywistego osamotnienia tych formacji. Ukazanie jej w tak przejmujący sposób było możliwe tylko przy spojrzeniu od wewnątrz, przy zastosowaniu przez Brezę specjalnej techniki narracyjnej. I o tej artystycznej poprawce do przedstawianej rzeczywistości nie wolno krytykom zapominać pod groźbą zarzutów nieznamośności alfabetu znaków literackich. Kierczyńska upraszcza sprawę mówiąc o braku tych, a tych faktów w powieści i nie starając się wykryć przyczyn takiego stanu rzeczy.

Po wtóre — Kierczyńska częściowo przeoczyła fakt, że komunistyczną robotę opisuje wprawdzie dobrze w niej zorientowany „kiper od komunistów” ale jednocześnie człowiek ślepy na społeczną genealogię komunizmu i jego sens. „...Irzykowski — pisze D. Hopenski — załamując ręce nad prymitywizmem Kadena, że Coeura wyrzucił na diabła ludowego, całkowicie przeoczył fakt, że to masażystka Knot tak widzi i opisuje reprezentanta obcego kapitału — a nie Kaden”.

I znów kluczem do słusznej interpretacji było zagadnienie t. zw. mowy pozornie zależnej, swoistego stopu sprawozdawczego empiryzmu i subtelnej immanentnej krytyki autorskiej.

Są i inne artystyczne konsekwencje techniki powieściowej stosowanej przez Brezę, które jednak wymagają szerszych uzasadnień.

Notuje je tylko: t. zw. prawo dwóch osób na widowni, najbardziej sprzyjającego układowi dla ekshibicjonistycznych rozmów, czas zamknięty (w partiach przedstawianych omal bez żadnych skrótów, czy nawrotów czasowych), żółtowa akcja, statyczna kompozycja etc.

W ramach zakreślonej pisarskiej koncepcji powieści Brezy zmieściło się jednak wiele wiedzy historycznej. Zegzemplifikowano dla sanacyjnej Polski typowe procesy. „Sanacja to była jakaś wstępna doktryna, w której dawał się rozpoznać kształt władzy absolutnej i heroicznej” — mówi młody oenerowiec, Goworek. Dla analizy jakiegoś fragmentu historii nie wystarczają te grube narzędzia, jakimi się przeprowadza sekcję ogromnych potaci dziejów. Trzeba stokroć precyzyjniejszych przyrządów. Tak, jak pojęciowy aparat w „18 Brumaire’a” Marksa jest nieporównanie bardziej czuły, niż system pojęciowy „Manifestu komunistycznego”.

Sanacja w Murach Jerycha pokazana jest w swoich sprzecznościach, wewnętrznych antynomach, które decydują o jej zyciorysie. „...Nieokrzesana starsza wiara nieuków, prostaków, barbarzyńców, przypadkowców za całe przygotowanie, których powoli ma się zastąpić rzeczywistą staranną elitą, wyborem jednego pokolenia”.

Znajdujemy explicite scharakteryzowaną tę przyszłą rządzącą grupę nielich ludzi: „Panowie są we wszystkim prawie, jak ktoś, w językach prawie jak cudzoziemcy, ubrani prawie jak hrabia, towarzysko oblatani prawie jak światowcy, umysłowo jak docenia, w koncepcjach politycznych jak mężowie stanu. Ale prawie!”⁵⁾ Drugie pokolenie kandydatów do władzy to urzędnicy, stróże państwowych tajemnic. Jedyni przyszli kapłani „społeczno-towarzyskiego rytuału papierowej formalistki” (wg. doskonałej charakterystyki biurokratów pióra Chałasińskiego). W skomplikowanej, biurokratycznej maszynie orientowali się tylko oni, praktykanci ustroju, dojrzałe pokolenie ludzi, którzy czekają i czyhają, gdzie zwolni się warsztat. Już niektórzy z nich zastępują wysłużoną legionową gwardię: „Już Karnowski został wiceministrem, nie z polityki, ani z wojska, o nie! Właśnie z takiej szkoły, jak oni, warszawskiej intelektualnej formacji”.

Oto jeden ruch w ekskluzywnym obozie rządzącym.

Sanacja, „spłodzona przez Piłsudskiego z próżnią”, poszukiwała popleczników. Zbyt wąską i chwiejącą bazę społeczną dla rządu stanowiła armia urzędników. Za kulami historii znawiano „feodalne flirty”, bowiem nie szło w nich o rękę np. księżny Medekszańki, lecz o zaręczyny dwóch obozów. Flirt Jelskiego z Medekszańką i inne flirty to romanse o historycznym znaczeniu. Przychylnie usposobienie wobec oeneru — wytwór coraz bardziej zagnajającej się społeczno-ekonomicznej sytuacji, w powieści Brezy jest wspólnie przełożone na charakterystykę społeczno-towarzyskiego położenia ostatnich sanatorów. Sanacja na pomoc wezwwała drobniomszczanina, ostatniego obrońcę starego porządku i jego reprezentację polityczną — Obóz Narodowo-Radykalny.

Mimo hermetycznego zamknięcia nawiedza ją środowisko sanacyjno-oenerowskie niepokoję i widma.

„Jak w dzwonie — szepnął (Jelski) — zapuszcza się człowiek w te prowincje, jak w dzwonie podwodnym. Strach co to za życie. Wyjść w nie to to samo, co w noc”.

Przez okno pędzącego pociągu dojrzał Jelski „grupkę chłopów”, która chwilę poostała spoglądając na pociąg, aż się rozpadła”. Inne spotkanie z ludem — kontemplacje galeeryjki sztuki ludowej Sztetlerowej, kobiety z krękiem na le ludowości:

„Stał (Skierliński) naprzeciw Krakowiaka, odmalowanego zbiegowiskiem kolorów. Wstąpił dwa schodki i obok wyżej był Ślązak, dalej Kurp, Hucul, Wołyński. Od prowincji przechodził do prowincji”. Ale minister Dietrich oglądając nawet galerie obrazków, figurynki i garnków ludowych, kolekcjonowanych przez chorobliwą ludomanję jest zaniepokojony: „niech im się tylko czasem nie zdaje, że oni tacy są!... Ale do licha, czy my właśnie tego od niego (chłopa) chcemy, by musiał tak palcem po glinie szczebiotać, jak dziecko”.

Mieszkańcy Jerycha są przerażeni czyjąkolwiek ewakuacją poza mury miasta. Rodzice młodego komunisty opowiadają o „stracie” syna:

„Z takiego domu — wyjaśniła myśl męża Dykiertowa — z domu, gdzie z każdego kąta wylaniają się dzieła sztuki, zabytki naszej kultury — podobne dziecko!”

— Strach pomyśleć!”

Staralem się wyłożyć kwestionowane przez M. Kierczyńską prawa Murów Jerycha do tytułu powieści politycznej.

Na chwiejność ocen Murów Jerycha wpłynął fakt, że były one pierwszą po wojnie polityczną powieścią o czasach sanacyjnych. Jan Kott przyjął entuzjastycznie Mury Jerycha jako książkę, na którą czekaliśmy. Podnosił jej literackie zalety, uważał za oznakę odrodzenia prozy powieściowej w Polsce.

Melania Kierczyńska znów protestuje: pierwsza powieść o przedwojennej Polsce powinna wyraźnie dyskredytować sanację, powinna mieć powszechny zasięg.

Mam wielu kolegów uniwersyteckich, którzy odczytali Mury Jerycha przed końcem. Nie przetrzymali wędrowki przez gęszczą metafor, aforyzmów i paradoksów. Nie chcieli się męczyć nad skomplikowaną frazą i zawitym systemem umownych literackich znaków. Odrzucili powieść, która rozgrywa się poza prawami normalnego czasu. Książkę Tadeusza Brezy odbiera czytelnik wyrobiony pod politycznym i artystycznym względem, literacki smakosz i koneser polityki.

Niewielki krąg odbiorców umniejsza znaczenie Murów Jerycha jako narzędzia w naszej rewolucyjnej praktyce.

¹⁾ Tadeusz Breza. „Mury Jerycha”. Powieść. (Kraków). Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1946; str. 334 i 2 nl.

²⁾ „Mury Jerycha”, Kuźnica Nr. 31 (49).

³⁾ „Dyskusja nad oceną Murów Jerycha”, Kuźnica Nr. 9 (78).

⁴⁾ Kazimierz Wyka „Powieść o polityce”. Odrodzenie Nr. 31 (88), str. 3.

Janusz Lin

Kapitalistyczny Tartuffe

Ludzi dzisiejszych — w każdym bądź razie tzw. cywilizowanych — można podzielić na dwie kategorie: tych, którzy chcą kapitalizm utrzymać i ulepszyć i tych, którzy chcą go zlikwidować. Podobnego podziału można dokonać i w nauce. Jest nauka pro- i antykapitalistyczna. Ta pierwsza wychodzi niejednokrotnie z antykapitalistycznych założeń. Wskazuje rozkład i marazm ustroju. Stawia diagnozę starczej degeneracji. Ale w końcu stwierdza, że starca można jednak uleczyć — ba, nawet przywrócić mu młodość.

Tak np. amerykański uczoney „Schumpeter” w wydanej w 1943 roku pracy, konstatując niemoc i wsteczność kapitalizmu, stawia jednak w końcu pytanie: jakże jednak lepszy ustrój może zastąpić kapitalizm?

Karol Mannheim — socjolog niemiecki działający w Anglii — w wydanej w 1944 r. książce stawia problem nieco odmiennie.

Najprzód kreśli, dość ciemnymi barwami malowany, obraz liberalistycznego społeczeństwa. Otóż: — teza pierwsza diagnozy — równoległe do wzrastającej demokratyzacji społeczeństwa rozwija się proces koncentracji — nie tylko w zakresie ekonomiki, ale i w dziedzinie życia intelektualnego. Dążenia i cele mas wyznaczone są i kierowane przez coraz węższą grupę przywódców — a więc w konsekwencji masy składają na owych przywódców cały obowiązek myślenia i zatracają zdolność wglądu w powiązanie faktów życia społecznego. Czyli — inaczej mówiąc — narasta irracjonalizm i społeczeństwo ulega chaosowi i anarchii. Dwie następne tezy diagnozy, to — pierwsze — brak proporcji pomiędzy rozwojem technicznym i moralnym, i — po wtóre — nierównomierność rozwoju intelektualnego różnych grup społecznych.

Katalog objawów kapitalistycznej choroby jest długi — jak np. zbytnie rozbudowanie i różnicowanie grup inteligentnych, brak porozumienia i współdziałania pomiędzy literaturą a publicznością etc. etc. Nie będę mnożyć też diagnostycznych autorstwa. Zależy mi bowiem jedynie na zobrazowaniu charakteru samej diagnozy. Mannheim zwraca bowiem uwagę na drugorzędne zupełnie niedomagania kapitalizmu — natury intelektualno-moralnej — nie mówiąc o tym, że same tezy wzbudzają liczne wątpliwości. Zapominają — celowo czy mimowiednie — o zasadniczych schorzeniach społeczno-gospodarczych kapitalizmu. O cyklicznych kryzysach. O stałej armii rezerwowej bezrobotnych. O wycisku klasy robotniczej przez właścicieli środków produkcji. O rugowaniu z ziemi drobnego i małego chłopca przez wielkich posiadaczy, względnie — jak w Ameryce — przez wielkich monopolistów. A co najistotniejsze — pomija cały mechanizm walki klasowej, tak niebywale ustalony dla kapitalizmu.

Zbigniew Wasilewski

Bobrzyński redivivus

Gdzie? Oczywiście w Krakowie. Wiesław Jażdżyński cytuje w 3-im tegorocznym numerze „Wiś” w artykule „O Związku Walki Młodych” znamienne zdanie z „Dziejów Polski w zarysie” Michała Bobrzyńskiego, które dla przypomnienia przepiszę raz jeszcze: „Musimy — pisze Bobrzyński na str. 312 t. II swego dzieła — poznać we wszystkich szczegółach objawy i następstwa zabijającej równości, ażeby w dzisiejszej pracy społecznej uszanować jednostki, przodujące siłą swojej tradycji, talentu, wykształcenia, zasług, ażeby zdrową hierarchię wyrobić i utrzymać, ażeby jedni umieli prowadzić a drudzy ich popierać i słuchać”.

Nikt nie chce zaprzeczyć wielkiemu znaczeniu dzieła Bobrzyńskiego w ostatniej ćwierci 19 wieku, w epoce fałszowania historii dla „pokrzepienia serc”, kiedy przeciwdziałając się bezkrytycznemu gloryfikowaniu przeszłości sarmackiej spopularyzował on badania rewizjonistyczne, zgodnie ze stanowiskiem „krakowskiej szkoły historycznej” upatrujące przyczyny upadku Polski w wadach ustroju, a więc w winach własnych, wewnętrznych. Mimo to „Dzieje Polski w zarysie” uważać należy ze względu na społeczne poglądy autora za wsteczne, reakcyjne, czego niezbitym dowodem przytoczone wyżej wyznaczniki wiary Bobrzyńskiego.

Zasięg oddziaływania i wpływ tej książeczki były w swoim czasie bardzo znaczne. Dowodem tego są trzy wydania na przestrzeni dziesięciu lat (do r. 1887). Wystarczy zresztą powołać się na świadectwo Żeromskiego w „Syzyfowych pracach”, do których chętnie odwołuje się również W. Jażdżyński. — Jakże dziwny jest jednak autor artykułu „O Związku Walki Młodych”, gdyby wiedział, że nawet na swój czas bardzo — hml... wątpliwe postępowe (nazwijmy raz jeszcze po imieniu: wsteczne) maksymy Stańczyka — reakcjonisty z roku 1877 w rodzaju przytoczonej — na wstępie służyć za obowiązkową strawę duchową studentom krakowskim w roku 1948 — w sto lat po „Wiśniu Ludów”, w połowie wieku socjalizmu, w 3 lata po „Iarodnej” wprawdzie, ale przecież — rewolucji!

Dzieło Bobrzyńskiego — późniejszego namiestnika c. k. Galicji i Łodomerii w „nowym”, bo z roku 1927 wydaniu, do którego sędziwy autor dołożył „Uwagi nowe” idące... do starej linii! — jest bowiem do dziś dnia obowiązującym i podstawowym podręcznikiem historii na studium polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na egzaminach egzekwuje się właśnie z Bobrzyńskiego (i — co również nie pozbawione pikanterii — z podręcznika Sobieskiego) wiadomości o przeszłości Polski. Zdaniem studentów I i II roku, niekiedy przybyli wprost z prowincjonalnej szkoły...

Diagnoza Mannheim'a jest rzeczywiście charakterystyczna — dla swoistego rodzaju krytyki kapitalizmu.

Cóż robi autor dalej — po stwierdzeniu objawów choroby? Uznaje niezbędność planowania. Planowanie winno objąć wszystkie dziedziny życia. Klasyfikuje je na typy: bezpośrednie i pośrednie. Analizuje dość szczegółowo dziedziny życia społecznego, w których każde z nich może, względnie winno być stosowane. Zajmuje wybitnie antagonistyczne stanowisko w stosunku do liberalizmu. Stwierdza nawet wzrastające podobieństwo między państwami totalistycznymi: a parlamentarno-demokratycznymi. Pierwsze bowiem skupity w rękach państwa funkcje dyspozycyjne i kontrolne — drugie zaś zmierzają do ich całkowitego przejęcia. Tylko, że przy pojęciu „totalistyczny” stawia znak równości pomiędzy ustrojem faszystowskim i socjalistycznym. I ów znak równości kładzie się — mówiąc dosadnie — krzyżem na całym rozumowaniu Mannheim'a. Bo nie zdaje on sobie sprawy, że ustrój socjalistyczny umożliwia planowanie dzięki uspołecznieniu środków produkcji — ustrój faszystowski zaś dzięki całkowitemu niemalże utożsamieniu niewielkiej garstki monopolistów z państwem. Różnica na tyle istotna, że planowanie w ustroju kapitalistycznym — jak wykazał przykład Stanów Zjednoczonych w okresie wojny — powoduje gwałtowną koncentrację kapitału i niwelację drobnej własności — w ustroju zaś socjalistycznym — jak wykazuje przykład ZSRR — powoduje systematyczny wzrost dobrobytu najszerszych kręgów ludności a przy tym umożliwia równomierny rozkład ciężarów społecznych.

Mannheim dostrzega pewne objawy choroby drążącej kapitalizm — ale nie umie zdefiniować jej przyczyn.

I stąd — mimo dość szczegółowej analizy problemu planowania — nie uznaje konieczności uspołecznienia podstawowych gałęzi produkcji i zmiany klasowej podstawy państwa — stwierdza jedynie, że zmianie winna ulec koncepcja własności prywatnej. Przedsiębiorca w ustroju kapitalistycznej planowości pozostanie przy wysokich dochodach, zachowa funkcję kierowniczą i pozycję społeczną, utraci jedynie swoją potęgę ekonomiczną.

Mannheim stara się fikcją nieznacznych zmian uleczyć rzeczywistą chorobę. A w ostateczności pozostaje i broni podstaw kapitalizmu.

To zaś była teza wyjściowa mego krótkiego artykułu. Nie wszelka krytyka kapitalizmu jest równoznaczna z podważaniem szkodliwego ustroju.

Winno to sobie zapamiętać również i pewni nasi uczeni, którzy żyją pod czarem pseudo-krytyki anglosaskich profesorów.

wieć pełni niezachwianej wiary w prawdziwość wszystkiego, co napisane w zaleconej przez wykładowcę książce, a więc bezkrytyczni w stosunku do wiedzy głoszonej *ex cathedra*.

Skutki są wiadome i widoczne dla każdego, kto się z tą młodzieżą styka. Jest to oczywiście ważne zagadnienie wychowawcze: dobor treści ideowych, jakimi oficjalnie karmi się młodzież na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Bobrzyński zastrzeżę wprawdzie na wstępie, że „nie wolno posługiwać się historią dla uzasadnienia jakiegokolwiek z góry ułożonego systemu, dla jakiegokolwiek doktryny i jakiegokolwiek kierunku politycznego” (t. I, s. 21), lecz dzieło jego jest zaprzeczeniem tego założenia, do czego autor rozczulając i zupełnie niedowzmacznie przyznaje się w posłowniu: „W jakim celu... zapuszczamy się w badania, których wyników bez serdecznego bólu nie podobna spisać i czytać?”

Czy samo hasło naukowe, czy same cele uniemożliwiają historycznym mogą do takich badań użyć potrzebnej wytrwałości i siły? Odpowiemy, że nie!...” (t. II, s. 311). Z dalszych wywodów wynika, że autor nie „zapuszczałby się w badania”, gdyby nie miał mu one przynieść jego koncepcji politycznych.

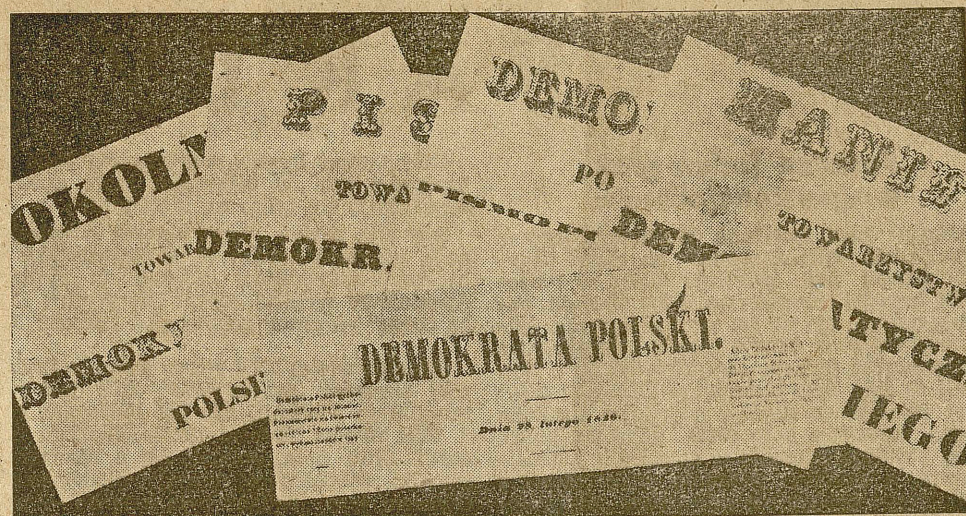
Jakie były te koncepcje — wiemy już dobrze. Weźmy tylko jeden z licznie nasuwających się przykładów (cytuje go też dr. W. Kuła w „Kuznicy” nr. 8 z dn. 21.10. 1945 r.): krytyka stanowego egoizmu sejmującej szlachty jest Bobrzyńskiemu potrzebna po to by i w ten również sposób protestować przeciwko... reformie rolnej z r. 1920 i progresji podatku gruntowego (t. II, s. 327). — Czyż trzeba mówić więcej w 3 1/2 roku po wydaniu dekretu z 6.9. 1944?!

Na Gołębiej w Krakowie straszą widma przeszłości...

Post scriptum. Wypadek z Bobrzyńskim nie jest zresztą odoosobniony. Na tymże samym studium polonistyki U.J. przerabiał się na jednym z seminariów poetyki (również na I roku studiów) jako podstawowe dzieło o wersyfikacji polskiej „Teorię poezji polskiej z przykładami w zarysie popularnym” A. G. Bena z roku 1899(!). Nieszczeni uczniowie „kuja” z zapałem godnym lepszej sprawy „na wtorek od strony 65 do 82”, „na piątek od strony 82 do 90”...

Przypominam sobie, jak w listopadzie ub. r., podczas pobytu w Krakowie, narzekał Stefan Żółkiewski, że ciągle jeszcze na uniwersytecie polskich podręcznikiem poetyki jest stary Tomaszewski. Ale książka Tomaszewska wyszła już w okresie dwudziestolecia, a jej polskie wydanie nosi nawet datę 1935. Tymczasem Bena...

Kraków, Krakowie, starodawny grodzie!...



STO LAT TEMU 1848-1948

POD REDAKCJĄ DR. WITOLDA ŁUKASZEWICZA

Wiktor Helman

SZLACHTA, POWSTANIE, ORGANIZACJA SPOŁECZNA

Szlachta polska, jako stan, kosztem reszty narodu własne istnienie utrzymujący, wzięta w całej masie, bez względu na dzielące ją odcienia i różnice, jest z natury swojej przeciwną każdej reformie społecznej; a, że reforma taka jest niezbędnym warunkiem odzyskania niepodległości, przez konieczne zatem następstwo, stan ten za siłę szkodliwą, pod politycznym nawet względem uważany być powinien.

To ogólne twierdzenie modyfikuje się wszakże, zstępując do pierwiastków stanu szlacheckiego składających.

Arystokracja polska**) ten antynarodowy żywioł, który nie mając nigdy politycznie uznanej egzystencji, stał jednak przez kilka ostatnich wieków na czele stanu szlacheckiego, odpiąć musi całymi siłami swoimi każdą demokratyczną formę, a dla jej odwrócenia, jak dotąd nie wahał się u stóp najeźdźców narodową niepodległość składać, tak i teraz gotów jest zdradzić własną ojczyznę. Nie ma on już żadnej moralnej siły. Przez znaczną część szlachty od dawna odpychany, po tylekroć zawiódłszy położone w nim zaufania, przy coraz więcej rozjaśniających się pojęciach, traci codziennie wpływ niegdyś na cały stan szlachecki wywierany. Bez tego wpływu, tej moralnej przewagi, może on jeszcze przez bogactwa, oświatę i rozległe stosunki swoje, stawiać przeszkody w chwili przygotowawczych działań; ale w stanowczym ruchu za siłę demokratycznej sprawie niebezpieczną używany być nie może. Arystokracja polska jest bez przyszłości. Ostatnie powstanie i obecne tulactwo, wieczny jej grób wykopały. Szlachta właściwa, ta, która niegdyś zamożną masę panującego stanu składała, nie jest, jak arystokracja, z narodowych uczuć wyzuta. W łonie jej tli nieustająca żądza zrzucenia obcego jarzma; krwawą najszlachećniejszych jej synów oblało się każde narodowe powstanie; i dziś w imię niepodległości największe nawet poniesie ofiary, byleby niepodległość zostawiła ją na dawnym politycznym, a przynajmniej socjalnym stanowisku. Dla tego masa jej, myśl przywileju żywiąca, rewolucji społecznej, a tym samym jedynym środkiem odzyskania niepodległości przeciwną być musi.

W łonie jej nie ma już oddawna potrzebnych do skruszenia obcego jarzma żywiołów. Numeryczna jej potęga zbyt jest słabą; materialne zasoby niewielkie; dawna zamożność, klasami publicznymi, nierządem, zbytowym życiem w ubóstwo po większej części zmieniona; umysłowe tylko wykształcenie nadaje jej rzetelną w społeczeństwie naszym przewagę. Dla braku przeto środków nie jest ona w stanie ani obcej przemocy sama zrzucić, ani

*) Wyjątek z rozbioru kwestii: „Jakie są wewnętrzne siły społeczeństwa polskiego, uważanego pod względem socjalnym i politycznym”, Pottiers, 1838, p. 27.

**) Właściwie całą szlachtę polską, tak jak każdy stan uprzywilejowany arystokracją nazywać należało. Względnie jednak uważając, nasi panowie czyli magnaci są arystokratami dla szlachty, jak ta jest arystokracją dla reszty narodu.

prawdziwej narodowej potęgi raz poruszonej do bezwładności przyprowadzić. W ciągu przygotowanych działań może jeszcze, tak jak arystokracja, z postępem wyobrażeń otwarte walki staczać, albo przybierając maskę demokracji, obecny ruch paraliżować; ale nie ośmieli się wystąpić przeciwko ludowi wtenczas, kiedy masy jego w groźnej postawie o prawa swoje u obcych najeźdźców i u niej samej dopominać się zaczęły.

Pomimo to, ma ona jednak znaczne siły, demokratycznej sprawie sprzyjające.

Stan szlachecki z upadkiem ojczyzny politycznie istnieć przestał; bezskuteczność usiłowań, którym dotąd przewodniczył, klas, których stał się przyczyną, i nowe pojęcia, coraz więcej podkopujące samą przywilejów istotę, odjęły mu jeszcze całą moralną siłę, do zupełnej moralnej dysolucji doprowadziły. Ale jak w każdej rozwiązującej się społeczności wyrabiają się zawsze nowego życia pierwiastki, tak je wyrabia również i nasza dawna społeczność szlachecka. Wszystko co w niej jest szlachetne, wzniósłe, do poświęceń zdolne, opuszcza szeregi starej społeczności, depcze jej przesady, rozdziera pergaminy, a młodą myśl, nowe życie zwiastującą, z zapalem przyjmuje. Wśród tego ruchu pierwsze zapewne miejsce trzyma młodzież, boskim tchnieniem ostatnich walk ożywiona, zimną egoizmu rachubą nie zarażona jeszcze. W tym nowym pokoleniu rozwijają się wielkie moralne i umysłowe siły, które w przygotowawczych zwłaszcza działaniach, kiedy myśl nasza do ludu się przenosi, ważną rolę grać mogą.

Ale nie na tym jeszcze kończą się siły, jakie stan szlachecki odradzającej się ojczyźnie przy swoim nawet rozwiązaniu przyniesie. W nim rozwijała się przez długi czas myśl demokratyczna; pod jej wpływem wyrabiały się narodowe pojęcia; na niej oparte były wszystkie prawie instytucje. Myśl ta, chociaż w szczupłym jednym stanu obrębie zamknięta, nie przedstawiała jednak właściwym sobie sposobem kształcić się i doskonalić; wracając przeto do pierwotnego źródła, rozlewając się na całą masę narodu, przyniesie z sobą te nabytki, jakimi ją kilkowiekowe rozwijanie się zubożyło. Światło wieku usunie zbrocenia; zdrowe żywioły stana się wspólną wszystkich własnością. Ważne korzyści, których pozbawione są narody pod berłem absolutyzmu ciągle żyjące.

Ostatni szczebel, szlachta drobna, pergaminem tylko, jak mówi sekcja Montpeliera, do uprzywilejowanego stanu przyklejona, najmniej mieści w sobie pierwiastków demokratycznej sprawie przeciwnych. Pozycja socjalna znacznej ich części zbliża ją do ludu; dawne przesady jedynie oddalają. W społecznej reformie nie prócz tych przesądów nie mając do stracenia, nie może jej być przeciwna, a tym samym i środkiem do odzyskania niepodległości koniecznym.

I w stanie więc uprzywilejowanym, który z natury swojej jest anti-demokratyczny, są jeszcze siły, siłom ludu rzeczywistą pomoc przynieść mogące.

FAKTY I ZDANIA

Jeszcze jeden głos o egzystencjalizmie

Artykuł prof. Bohdana Suchodolskiego w „Przeglądzie filozoficznym” na temat egzystencjalizmu jest pierwszą chyba w Polsce próbą krytyki merytorycznej tej filozofii, powstrzymującą się od jej wartościowania. Suchodolski zwraca uwagę przede wszystkim na wieloznaczność pojęcia „egzystencjalizm”. Wyróżnia w nim dwa zasadnicze kierunki: pierwszy zajmuje się analizą pojęciową istnienia w celu wykrycia jego form strukturalnych, drugi pojmuje istnienie w znaczeniu jednostkowym, z punktu widzenia doświadczenia istniejącego konkretnie człowieka. Za protoplastę pierwszego kierunku może być uważany Heidegger, drugiego Kierkegaard. Kierunek heideggerowski według Suchodolskiego nie może wybrnąć z niekonsekwencji pomiędzy ontologicznym obiektywizmem a wiedzą opartą na empirii psychologicznej, kierunek kierkegaardowski mający wyraźny empiryczny charakter, stawia tym samym siebie de facto poza granicami wiedzy filozoficznej. W związku z tym Suchodolski jest zdania, że egzystencjalizm jako prąd filozoficzny nie da się utrzymać, że jest to tylko nowy wyraz o wiecznego konfliktu pomiędzy ogólnym charakterem myślenia ludzkiego a jednostkowym charakterem istnienia.

Suchodolski referuje wszystkie możliwości genetycznego zinterpretowania egzystencjalizmu. Pierwszą możliwością jest powiązanie tego prądu z przełomowym okresem historycznym, w jakim żyjemy. Sami egzystencjaliści aprobowali taką interpretację, stwierdzając, że problematyka egzystencjalistyczna oddziałuje na człowieka z różnym natężeniem w zależności od sytuacji, w jakiej dany człowiek się znajduje. Drugą możliwością jest powiązanie egzystencjalizmu z kryzysem mieszczaństwa, z jego znużeniem i zniechęceniem. Suchodolski odmawia słuszności temu rodzajowi interpretacji, odnosząc wszystkie odmiany egzystencjalizmu, bowiem, jak stwierdza, obok pesymistycznego istnieje również optymistyczny kierunek tej filozofii.

Odmawiając związku łączącego egzystencjalizm z marksizmem, Suchodolski twierdzi, że pomimo pozornie diametralnych różnic da się ustalić pewne punkty wspólne. Mogą być nimi: 1) wspólna walka z idealizmem heglowskim; 2) pojęcie człowieka „zakorzenionego w bycie”; jako odpowiednik marksistowskiego determinizmu; 3) przeciwstawianie się tendencjom do abstrakcyjnego uniwersalizmu przy jednoczesnym popadaniu w doktrynarskie pokusy (?); 4) problem przywrócenia człowiekowi jego pełnych wartości po unicestwieniu dewaluujących go determinantów. Ostatni punkt łączy marksizm szczególnie z optymistycznym kierunkiem egzystencjalizmu. Odnosząc drugiego punktu, Suchodolski referuje dalej poglądy niektórych badaczy niemieckich, którzy z całą gotowością akceptują tezę o zakorzenieniu człowieka w bycie, rozumiejąc przez pojęcie bytu rzeczywistość rasowo-biologiczną, rzeczywistość narodowej wspólnoty lub misji historyczno-politycznej. Fakt ten — niezmiennie pouczający dla tych, którzy widzą w tezie o „człowieku zakorzenionym w bycie” objaw determinizmu, skłonni są z lekkim sercem łączyć egzystencjalizm z marksizmem, zmusi zapewne tych panów do wyeksplikowania, jaki to ma być determinizm.

Witold Jedlicki

Chmielowski aeternus

Na U. J. wymaga się wiedzy oficjalnej, zerpanej z podręcznika Bobrzyńskiego. A na U. L. do colloquium z „metodologią historii literatury” na I roku przygotowują się studenci — wg. wskazań spisu lektury — z podręcznika Chmielowskiego („Metodyka historii literatury”), wydane w r. 1899. Ten lekturę, choć bez mała pół wieku podręcznik uchodzi za ostatni wyraz najnowszych tendencji metodologicznych we współczesnej wiedzy o literaturze. Studenci uczą się — wg. podręcznika — na pamięć m. in. następujących prawidłowych i poprawnych odpowiedzi na zadawane przez egzaminującego pytania:

„Co to jest kompozycja?” „Kompozycja jest to stosunek części do całości”

„Co to jest literatura?” „Literatura jest to ogół utworów ducha ludzkiego, wyrażających myśli, uczucia i ideały ludzkości lub pewnego narodu za pośrednictwem pięknego słowa”.

Mądrej głowie dość dwie słowie. J. m.

Polityka ogłupiania i polityka zastraszania

Pisma katolickie takie jak „Ryecz Niepokalanej” czy „Królowa Apostołów” obliczone są w swych aspiracjach na „szare masy” wiernych. Z tego wynikałoby, iż powinny służyć one podnoszeniu wiedzy i świadomości swych mniej niż przeciętnych czytelników. Wówczas ich istnienie miałyby społeczny sens.

Widocznie jednak wydawcy i ich protektorzy mając na uwadze potrzebę władania „duszami maluczkich” obawiają się choćby najmniejszych dawek rzetelnej wiedzy.

Do takiego stwierdzenia doszedłem przeglądając nowy styczniowy numer „Królowej Apostołów”. Na szesnastu stronach tego pisma nie znalazłem nie poza tym, co musi przypisać o zamęt w głowie. Jest to całkiem słuszne zresztą z punktu widzenia wydawców. Nie można zrozumieć pojąć pogodzić tego metafizyczno-duchologicznego gąszczu ze zdrowym trzeźwym rozsądkiem — a więc należy wierzyć.

Cały numer łącznie z artykułem Jana Dobrzyńskiego „O człowieku mało znanym” kwalifikuje się tylko na makulaturę.

Aby nie zostać pomówionym o gołosłowność, zacytuję bardzo charakterystyczne dla bzdurnej mentalności „pisarzy” z „Królowej Apostołów” wyjątki. Tytuł „artykułu”: „Próbą czasu” — autor ukryty pod literami J. Z.

„Koniec wieku XIX był w Europie Zachodniej okresem „naukowego”, dziś już przebrzmiałego ateizmu. Nic też dziwnego, że w r. 1894 młody, 22-letni powieściopisarz francuski, Emil Zola, pokusił się o rozwiązanie zagadki, niepokojącej umysły niedowiarków. Owocem jego „badań” była książka — pamflet na Lourdes, którą zwolennicy „naturalizmu” uznali za decydujący cios, co miało zburzyć kult, powstający dokoła groty Masabielle.

Lata płynęły. Emil Zola zdobył stanowisko znanego pisarza. Marzył o laurach wielkiego Balzaka. Ale rozgłos, który uzyskał jego powieści: „Rougon Maquart”, „Kłeska” i inne cichnie coraz bardziej. Nazwisko Zoli stało się powoli jedną z niezliczonych pozycji w podręcznikach historii literatury.

Tymczasem nazwisko pasterki, Bernadetty Saubirou, którą młody ateusz starał się znieślić — nie tonie w zapomnieniu. Przeciwnie, siłami małej świętej przebywa granice czasu i przestrzeni, przekracza oceany, dociera nawet do ludzi, stojących poza kościołem.”

„Tak więc mała Bernadetta żyje coraz realniej w świadomości ludzkiej przez swoje dzieła i cuda jej Pani, gdy imię tego, który chciał zgasić jej sławę — błędnie i gąśnie z roku na rok”.

Na tym przykładzie sprawdźmy możemy, z jaką doskonałością zaprezentowano tu metafizyczną historię literatury.

Ukoronowaniem wywodów „pisarza” jest głos niby traby jerychońskie wieszczący apokaliptycznym językiem zagładę tych, co podnoszą się na „prawdę słowa bożego”.

„Taki los musi dotknąć w przyszłości wszystkich, co występują przeciw Bóstwu Syna Bożego i przeciw boskiemu pochodzeniu Jego Kościoła”.

Cytującemu te słowa ścierpła z trwogi i strachu skóra. Ale trudno. Już za późno — notka gotowa.

Józef Kompot

Pochwała parafianstwy

Nie tak dawno jeszcze ludzie światowi, białcy używali wyrazu „parafia” w podwójnym znaczeniu. Raz do określenia gminy kościelnej pod względem terenowym, a następnie do pokreślenia, że coś jest nieokreślane, naiwne i śmieszne. Kołono z parafianstwy — u nas, kłono i gdzie indziej.

Węgierski pisarz Maurycy Jokai w powieści „Poruszmy z posadziemi” przedstawia szczególnie komiczny przypadek parafianstwy: przodkowie parobków w pewnym folwarku położonym w pustkowiu, daleko od kościoła. Dziedzic majątku stanął wobec kategorycznego żądania służby, że albo będzie sprawował obywatelskie obowiązki, albo też wszyscy odejdą od niego, i udadzą się po pracę gdzieś bliżej kościoła. Sytuacja wydawała się coraz trudniejsza i tylko przypadek ułatwił jej pomyślnie rozwiązanie. — Do dworu przybyła grupa wędrujących studentów. Dziedzic przyjął ich, lecz pod warunkiem że wezmą na siebie rolę pastora i będą prowadzili przez trzy dni modły z jego parobkami. Studenci przystali na propozycję, podstęp nie wydał się, a ludzie modlili się i wyśpiewywali psalmy za wszystkie czasy. Na drugi dzień zgłosiło się tylko kilku wiernych, a na trzeci nikt. Mieli dosyć nieustającego nabożeństwa, które przeszło do historii okolicy.

Podobne zupełnie zdarzenie, ale już u nas i z ostatniej doby opisuje Paweł Jasienica w Tygodniku Powszechnym (Nr 5, „Mieszany naród”) udając, że go ono nie śmieszy.

Parafianstwą się najpierw w pochwałach starożytności — politycznej i religijnej, a sami „rozkładamy ręce — nic nie możemy zrobić”. Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży Szkół Wyższych chociaż „nosi tytuł długi i groźny”, prowadzi swe prace w ten sposób, że „rezultatów nie widać”. Nie zapomniano i o czynnikach materialnych, które „założyły ręce” i nie chcą pomóc biednym studentom.

Na tym kończy p. Górski przegląd spraw akademickich dotyczących „brudnego materializmu życiowego” i przechodzi do zagadnień jego zdaniem o wiele ważniejszych.

„Młodzież ta pogrążyła się w rozpaczliwej

kłódkę przemysłową. Ludzie nie chcą u mnie pracować, bo księdza i kościoła nie ma. Na tak ja postroił tri cerkwi, kupił siem ikon. — Rozwinął pakunek, pokazał cztery wizerunki Chrystusa i trzy Matki Boskiej — a teraz — koniecznie potrzebuję wina kościelnego, i księdza”.

Narzuca się przy tym dręczące pytanie. Co sobie o tym wszystkim myślał ów radziecki pułkownik i czy P. Jasienica na prawdę kanonizuje parafianstwą prostotę ludzi, dla których roztropny sowiet „postroił tri cerkwi i kupił siem ikon”. Czy tylko śmieje się do rozpuku, tak samo, jak węgierski dziedzic ze sztuczki z fałszywymi pastorami?

Jerzy Falenciak

O transportowaniu ideologii

Fala protestu przeciw Planowi Marshalla, jaka ogarnęła Europę, zmusiła amerykański Kongres Organizacji Przemysłowych do zbadania stosunku Ugrupowań Społecznych USA do planu „uzdrowienia Europy”.

Wyniki badania ogłosił James B. Carey — członek Komitetu Wykonawczego Światowej Federacji Związków Zawodowych. Stwierdził on, że z wyjątkiem organizacji Postępowych Obywateli Ameryki, prowadzonej przez Henry Wallace’a wszystkie inne partie, a szczególnie farmerzy — poparły Plan Marshalla.

„Im bardziej liberalnymi są dane grupy — powiada Carey — tym bardziej opowiadają się one za Planem Marshalla...”

Jestem tutaj nie po to, aby mówić o ideologiach, ponieważ nie będziemy eksportować z Ameryki ideologii, ale sztuczne nawozy, maszyny rolnicze, środki transportowe, bawełnę i stal. Chcemy eksportować to — mówi do Europejczyków Carey — co was nakarmi, odzieje i co będziecie mogli zużytkować w waszych fabrykach...”

Nie trudno domyśleć się, że ów Plan Marshalla jest niczym innym, jak próbą realizowania planu kapitalistycznych producentów amerykańskich, którzy za wszelką cenę chcą opanować europejski rynek towarowy, szczególnie zaś rynek surowcowy, aby w ten sposób wpływać na stosunki produkcji w przemyśle europejskim, a za tym utrzymać pożądaną dla siebie układ stosunków społeczno-gospodarczych w zniszczonej Europie.

Pan Carey jest jednak po to, aby mówić o transportie ideologii do Europy. Jego grę przejrzeć nie trudno, stąd przeciw opór narodów europejskich przeciw Planowi Marshalla, które nie chcą być półkolonią w kapitalistycznym systemie gospodarczym USA.

Bufallo Bill

O „nie sprytnym” dzennikarzu

„Studenci nie mają z czego żyć, studenci marzną i głodują — napisze czasem sprytny dziennikarz, gdy mu zabraknie stu wierszy do wyrobienia normy”. Tak ocenia p. Jerzy A. Górski („Troska materialna młodzieży”, „Dziś i Jutro” Nr 1 (110) dotyczący wyprowadzi w prasie na temat warunków studiującej młodzieży.

Pan Górski nie jest „sprytnym dziennikarzem”, znalazł bowiem właściwe jego zdaniem rozwiązanie problemu „nędzy akademickiej”.

Na wstępie swego artykułu stwierdza autor z zalem, że na skutek przeprowadzenia reformy szkół wyższych „wbrew przewidywaniom mury uczelni nie drgnęły nawet, nikt prawie nie pisał o dymisji i nikt z młodych nie popełnił samobójstwa”. A szkoda. Sensacyjna wiadomość przemieniłaby „Dziś i Jutro” w „Ekspress Wieczorny”, co może przyniosłoby większy pożytek i autorom i czytelnikom.

Nieco dalej dochodzi p. Górski do wniosku, że studenci cierpią nędzę, grucizka szerzy się w strasznych rozmiarach, stołówki akademickie to — „głód, kuchnie” wreszcie — obecne przeżycia uczące się młodzieży usuwają w cień legendarnych akademików Prusa i Żeromskiego. Bezpośrednio za tą listą, podaje spis przyczyn:

„Ciocia UNRRA wyzionęła ducha wskutek starożytności — politycznego i naukowego”, a sami „rozkładamy ręce — nic nie możemy zrobić”. Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży Szkół Wyższych chociaż „nosi tytuł długi i groźny”, prowadzi swe prace w ten sposób, że „rezultatów nie widać”. Nie zapomniano i o czynnikach materialnych, które „założyły ręce” i nie chcą pomóc biednym studentom.

Na tym kończy p. Górski przegląd spraw akademickich dotyczących „brudnego materializmu życiowego” i przechodzi do zagadnień jego zdaniem o wiele ważniejszych.

„Młodzież ta pogrążyła się w rozpaczliwej

bezideowości. Nie chodzi tu bynajmniej o zaprzeczanie polityczne — te bowiem są kwestie co najmniej drugorzędne. Idea mogą być i powinny być same studia...” A więc nie odniesione do rzeczywistości kulturalnej, społecznej czy gospodarczej — studia mają stanowić kręgosłup ideowy akademika. I co jeszcze? Posłuchajmy p. Górskiego:

„Zasadniczo działają na wyższych uczelniach przede wszystkim młodzieżowe przedłużenia partii politycznych organizacji studenckich. To nie jest dobrze — woła p. Górski — tym więcej, że działalność organizacji katolickich Caritas, Sodalicji, Juventus Christiana nie zawsze jest na odpowiednim poziomie”.

Teraz już wiemy, gdzie leży zło. Na terenie akademickim nie powinny istnieć organizacje polityczne. Młodzieży wystarczy w zupełności „idea samych studiów” i stowarzyszenie katolickie.

Koleczy akademicy! Pamiętajcie więc, że nie czynnikami materialnymi nie wiesz związek z istotnymi dziejami gospodarczymi, narodu da wam ciepłe odzienie, mieszkanie, czy wyżywienie i wyleczy was z „pustki ideologicznej”, ale czysta nauka i „opatrznościowe” stowarzyszenia katolickie, podnoszące was z „upadku moralnego”.

Wszystko zatem wiadome. Pozostaje tylko spytać czy i panu Górskiemu nie zabrakło czasem „stu wierszy do normy” i stąd jego artykuł?

Akademik

Osobliwe metody

Francuska krytyka literacka posługuje się czasami bardzo nowatorskimi metodami badań. W 37 numerze skrajnie prawicowego pisma „La nef” niejaki Jean Follain, tak komentuje świeżo wydany zbiór nowel Saroyana: „Saroyan jest Ormianinem i Amerykaninem. Z Ormianina posiada ponurą melancholię ras transplantowanych i także ciekawe poczucie codziennej nadzwyczajności. W tej melancholii, w tym poczuciu mieszczą się ta poezja, odcieleni, jak w kwiecie o skórze właściciel Amerykanom. Wszystkie nowele tego zbioru charakteryzują się zdumiewającą delikatnością”.

To jednak duży postęp od czasów hrabiego Gobineau. Przypisać tak niskie rasie, jak Ormianie, tak subtelne cechy psychiczne.

Witold Jedlicki

Wokulski a Pakulski

Wszczęta przez Jana Kotta dyskusja o „Lalce” Bolesława Prusa przeszła już przez szereg faz. Obecnie weszła w nowy etap, rozpoczęty artykułem tegoż autora p. t. „Lalka po raz ostatni” (Kuznica Nr 5).

W czasie między dwoma wojnami nie było w Polsce okręgu szkolnego, w którym by rok szkolny nie zadawało wśród piśmiennych egzaminów naturalnych jednego przynajmniej wypracowania na temat „Lalki”. To samo można powiedzieć o „Ludziach bezdomnych” Żeromskiego.

Tytuły tych wypracowań były różne a więc „Wokulski a Judym”, „Czy Wokulski był romantykiem?”, „Służba społeczna Wokulskiego”, „Wokulski a Rzecki” i t. d. — i t. d. Na obszarze jakiegoś tam kuratorium wytypował podobno temat „Wokulski a Trydion”. Śmielszy się, że u nas w moim roczniku naturalnym będzie „Wokulski a Pakulski”. — Ostatnie z trzech tematów jeden nosił tytuł: Czy Wokulski był romantykiem?

Nie byłoby nic w tym znamienne, gdyby nie wypracowanie kolegi Alfreda M., dziś już nieżyjącego, syna kupca branży owocarskiej. Wypracowanie swe dzięki któremu, o mało nie przepadł na egzaminach, Alfred M. zakończył takimi mniej więcej słowami: „Wokulski nie miał w sobie nie z kupca, a tylko kupca udawał. I dlatego nie można zrozumieć, że doszedł do takich pieniędzy”.

Konkluzja ta, bez precedensu naukowego na owe czasy, niech służy dzisiejszym polemistom w sporze nad „Lalką”. A biedny Fredzio M. jest tak czy inaczej nieznanym prekursorem Jana Kotta, Zygmunta Kałuzińskiego, Janiny Kulczyckiej — Saloni, Jana Aleksandra Króla, Kazimierza Budzkiego i innych godnych, chociaż różniących się na ogół między sobą w ujmowaniu bohatera tej powieści.

J. J.

W OSTATNIM 6 (135) NUMERZE „WSI” z dnia 8 lutego 1943 r.

Jerzy Drewnowski — Chłopi z robotnikami; Wiesław Jażdżyński — Wojenne zyski i powojenne kłopoty; Kazimierz Bartoszyński — Pozytywistyczne nowele; Branko Ciopie — Malkontenci; J. Lumin — Obrona kapitalizmu; Bronisław Mazur — Rane; Lech Budrecki — W impasie; Anna Kamińska — Świat ze słów; Waldemar Kiwłisz — Dlaczego poezja niepokoi?; Lech Budrecki — Od Kasprowicza do Przybosa; Tadeusz Chrościelewski — Epitafium drobniomieszczańskiej Warszawy; Juliusz Zajdowski — Jugosłowiańskie 5 lat; Jakub Litwin — Prospero i Kaliban; Stefan Lewicki — O pszenicy — panowie inteligencji; Sewern Skulski — Nie zgub się w świecie!; Anna Kamińska — Publicystyka społeczno-literacka; Wiktor Helfman — Kłóś słów do naszych Hrabców; Fakty i zdania; Anna Kamińska — Problemy krytyki; Piotr Pigwa — Dwie uchwały; Lech Budrecki — Autograf ducha; Jaskółka — Naśladowstwo prawne zastrzeżone. — Komunikaty, Ilustracji 14, stron — 12.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 40.— zł, kwartalnie 120.— zł, półrocz. — 240.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto P K O ŁÓDŹ VII — 1080

Obdito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—018423